

Wspólne. Mieścimy się. –J.

Jeśli ją znajdziesz, oddaj ją złożoną.

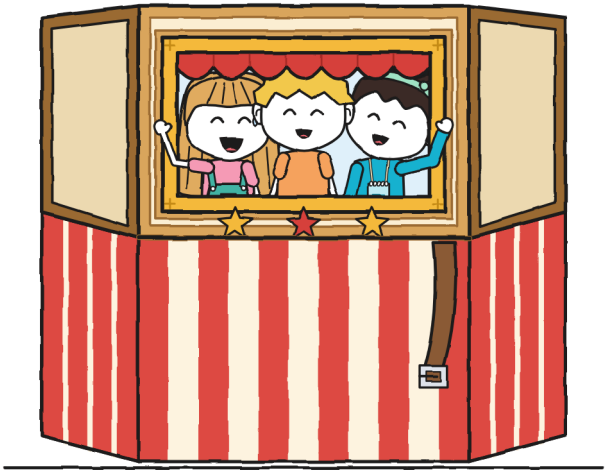


Ta pieczątka oznacza to, co zdarza się tylko w opowieści: prawdziwe smoki nie istnieją, a paczki nie przylatują z powrotem. Jeśli chodzi o prawdziwe przenoszenie, zajrzyj na ostatnią stronę. –J.

NIEMOŻLIWE DOSTAWY · 6

Miejsce dla trojga

LinguAula



(zeszyt Guniego)

ROZMIAR XL · Powieść ilustrowana · 13+

NIEMOŻLIWE DOSTAWY · 6

Miejsce dla trojga

Szósta książka z serii. Poprzednie: „Ta paczka gryzie”, „Nie otwierać przed grzmotem”, „Zwrot, proszę”, „Tu nie, Kruszynko!” i „Tort dla dwojga”.

Tekst i ilustracje: LinguAula

Wersja polska: LinguAula

ROZMIAR XL · Powieść ilustrowana · 13+

Wydanie pierwsze: 2026

© 2026 LinguAula · info@linguaula.com

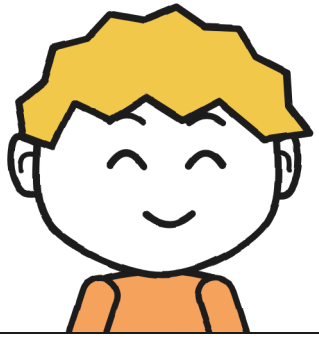
Można swobodnie kserować – do klasy i do domu.

Kroje pisma: Andika, Patrick Hand, Caveat i Courier Prime (licencja SIL OFL).

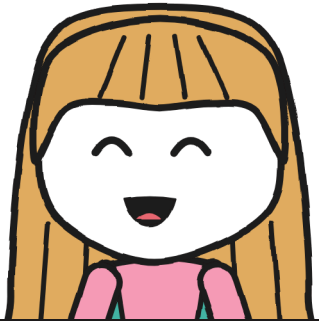
Pracuj nad każdym rozdziałem
na linguaula.com

We troje. Ja już wybrałam uchwyt. –J.

KTO JEST KIM



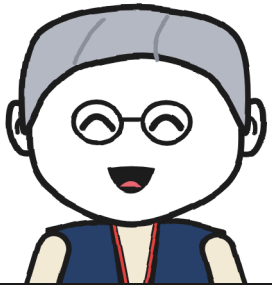
Guni. Mierzy w centymetrach. W tym tygodniu liczy też coś innego.



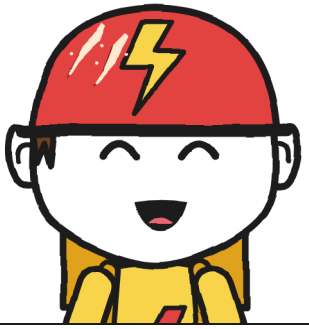
Julita. Zna drogę. Wytłumaczenie jej to inna sprawa.



Noa. Przyjaciółka Julity od dawna. Mierzy krokami: nosi je zawsze przy sobie.



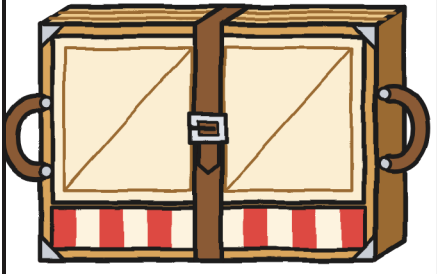
Irena. Prowadzi warsztaty teatralne. Nie mówi, którędy: mówi „stój”.



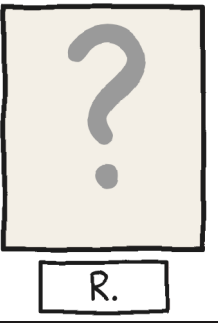
Tonio. Z BŁYSKAWICY i ze sklepu. Mierzy czas i nie komentuje. Prawie.



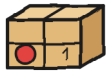
Mara. Pożycza paczkę. Pudła nie wypuszcza z rąk.



Nr 6. Teatr, który mieści się w pudle. Jeśli nikt nie przytrzyma paska, rozkłada się, gdzie chce.



R. Nadawca. Tym razem w inwentarzu została po R. jedna linijka.



ROZDZIAŁ 1

Dlaczego potrzeba trojga?

Zeszyt 5 skończył się dwiema igłami na tarczy i zamknąłem go tak, nie prosząc żadnej, żeby się cofnęła. Skończony zeszyt zostaje taki, jakim go zostawiłeś. To jego zaleta: nikt już nie może się z nim spierać.

Szóstka jest pomarańczowa. Mandarynkowa, taka, którą obiera się jednym ruchem, jeśli się nie spieszysz, i też ma pieczątkę sklepu w rogu. Mara położyła ją na ladzie obok różowej i poszła na zaplecze porządkować pudła, które już były uporządkowane. Mara nie wręcza zeszytów: zostawia je tam, gdzie będziesz patrzeć.

Na pierwszą stronę mam tradycję. Dwójce dałem OFICJALNY; trójce TAJNY; czwórce OSTATECZNY; piątce SPOKOJNIE. Cztery słowa z zamkiem i wszystkie cztery Julita przeczytała przede mną, ze mną włącznie. Tym razem szukałem słowa, które już się z tym liczyło.

U góry napisałem ZESZYT DOSTAW 6 Guniego, tak się pisze. Pod spodem jedno słowo:

WSPÓLNE.

I zostawiłem pół strony wolnego miejsca, na wszelki wypadek. Nie wiedziałem, na jaki wypadek. Wiedziałem zaraz: nie przetrwało wolne ani minuty.

Julita stała po drugiej stronie lady. Nie poprosiła o zeszyt; przyciągnęła go jednym palcem, odkręciła zielony flamaster i napisała na tej połowie strony tak wielką literą, że doszła do marginesu, namyśliła się i poszła dalej po marginesie. Potem zakręciła flamaster z miną „to nie ja", która w tym sklepie jest już wspólna.

Pierwszą stronę podzieliłam swoim pismem. –J.

Zmierzyłem, ile zajmuje: dolną połowę, całą. Moje słowo, z całym powietrzem, które mu zostawiłem dookoła, zajmowało górną. Dwie połowy. Wydało mi się to podziałem bardzo rozsądnym.



Jak zawsze, dla tego, kto trafi na ten zeszyt, nie czytając poprzednich. Sklep nazywa się Niemożliwe Dostawy i należy do Mary, która jest czarownicą, nosi fioletowy kapelusz i ma pieczątkę, która przy odciśnięciu sypie iskrami pachnącymi zgaszoną świecą. Na regale po lewej trzyma zwroty: paczki, których nikomu nie udało się doręczyć, wszystkie nadane przez R. Jeśli ten, kto dostaje paczkę, nie podpisze etykiety tuszem, który się nie zmazuje, o świcie paczka wraca w locie na swoją półkę. Było ich dwadzieścia. Julita i ja doręczyliśmy pięć: smocze

jajo, nasionka na nóżkach, dzwoneczek, zestaw na przybycie i stojak dla piekarni Elii. Na ścianie, zielonymi literami, jest napisane ZOSTAŁO 15. Tonio z BŁYSKAWICY ma swoje miejsce w pudle do góry dnem, obok stołków. Na razie.

W poniedziałek, dzień po liście od Elii, wyszedłem ze szkoły i poszedłem prosto do sklepu. Julita czekała na mnie przy ladzie z kopertą w ręku. Nie była zielona ani niebieska, a to są jedyne kolory kopert, jakie znam. Była turkusowa i zamknięta. Trzymała ją dwoma palcami za róg, jakby parzyła.

— Przyniósł listonosz. „Do sklepu Niemożliwe Dostawy". Nie otwieram jej od dawna.

— Jak długo?

— Dwadzieścia osiem minut — powiedział Tonio z pudła, patrząc na zegarek. — Rekord dzielnicy.

Miał na głowie kask, w sklepie, z dwiema rysami od pazura, a zegarek na wierzchu rękawa, żeby nie tracić czasu na podwijanie.

Znam Julitę. Zamknięta koperta w jej rękach trwa tyle, ile jej zajmuje znalezienie klapki. Dwadzieścia osiem minut to nie była cierpliwość. To było coś innego i nie wiedziałem co.

To nie była moja. Cudze koperty ważą trzy razy więcej. —J.

Mara otworzyła ją paznokciem, nie drąc papieru bardziej, niż trzeba. List był napisany wyraźnym, dorosłym pismem, z takich, które nie opadają na końcu wiersza:

„Jestem Irena, odpowiadam za warsztaty teatralne w centrum osiedlowym. Aktualizując inwentarz, znalazłam jedną linijkę: «Teatrzyk składany: oczekuje na odbiór». Czy mają go Państwo u siebie? W sobotę 31 jest gimkana dzielnicy. Jeśli teatrzyk dotrze złożony na nasze podwórko, niesiony przez trzyosobową drużynę, podpiszę go na miejscu. W drużynie Noi jest miejsce dla trojga i na razie jest w niej tylko ona."

Pod spodem, innym pismem, małym i prostym, w kolorze turkusowym:

„Julita: to ja! Teraz robię teatr. Przyprowadź kogoś, kto zna się na paczkach. —Noa".

Julita przeczytała podpis i kącik ust uniósł jej się z jednej strony, tylko z jednej, jak wtedy, gdy przypomina sobie coś, czego nie zamierza opowiadać. Powiedziała „Noa" cicho, tak, jak się mówi nazwę ulicy, którą przeszło się tysiąc razy.

„Ktoś, kto zna się na paczkach". To byłem ja. „Paczki" mi się spodobały. „Ktoś" mniej.



O piątej przyszły obie.

Irena miała teczkę, granatową kamizelkę pełną kieszeni i gwizdek na szyi. Miała krótkie, siwe włosy i okrągłe okulary,

którymi obeszła sklep półka po półce, jak ktoś, kto robi inwentarz, choć nikt go o to nie prosił. Noa miała notes na sznurku i turkusowy ołówek za uchem. Włosy w wysokim koku z loków, związane miętowozieloną chustką; sweter turkusowy, jak koperta. Wszystko w niej wyglądało, jakby ktoś postawił to na miejscu, żeby nie trzeba było szukać.

Julita wyszła zza lady, nie otwierając klapki, spodem, i padły sobie w ramiona. Ściskały się tak długo, że zdążyłem to zmierzyć: jedenaście sekund. Stałem z boku, z zeszytem. Zeszyt też się do tego przydaje: żeby mieć coś w rękach.

— To jest Guni — powiedziała Julita. — Zna się na paczkach.

— Cześć, Guni, który znasz się na paczkach — powiedziała Noa. I zapisała moje imię w notesie.

Zapisała je całe, z przydomkiem, który mi właśnie nadała. Z miejsca, w którym stałem, widziałem, że jestem drugą linijką na kartce. Pierwsza brzmiała „Julita" i miała pod sobą kreskę, jak rzeczy, które już są załatwione.

Mara weszła na niebieski taboret i zdjęła ze swojej półki nr 6. Pudło takie jak wszystkie, ani większe, ani mniejsze. Etykieta miała pięć linijek maszynowego pisma: NR 6. WARSZTAT NA PODWÓRKU. WEJŚCIE PRZEZ DWIE BRAMY. DORĘCZYĆ ZŁOŻONE. A na dole, jak zawsze, NADAWCA: R. Dookoła dziewięć pieczątek ZWROT.



— Dziewięć pieczątek — powiedziała Julita.

— „Dwie bramy” — przeczytała Noa. — Jakie dwie bramy?

Irena nie wiedziała. Mara też nie. Ja zapisałem to ze znakiem zapytania, co zapisuję, kiedy czegoś nie wiem i chcę, żeby było widać, że zauważyłem.

— Zanosiłam ją dziewięć razy — powiedziała Mara. — W poniedziałki otwierali mi krawcy. W środy chór. W piątki szachiści. „Warsztaty? To nie tu”. Nikt nie podpisywał za warsztaty.

Narysowałem to, kiedy mówiła, w trzech kadrach: Mara z pudłem pod pachą przed tymi samymi drzwiami, a w drzwiach, kolejno, igła z nitką, nuta i szachowy koń, który nic nie mówił, bo

w szachach się milczy. Pod spodem pudło wlatujące do sklepu przez okno o świcie. Dziewięć razy.

— Teatr ćwiczy na podwórku — powiedziała Irena. — A na podwórku nie ma dzwonka.

Otworzyła teczkę i pokazała Marze kartkę z pieczątką centrum. Mara czytała ją z nosem tuż przy papierze, tak czyta to, co zamierza potraktować poważnie.

— Teraz jest w rejestrze: „Warsztaty teatralne. Odpowiedzialna: Irena". Za warsztaty już ktoś podpisuje.

— Skoro ktoś podpisze, czemu Mara nie zaniesie go w pudle, jak stojak Elii? — zapytała Julita.

— W pudle zanosiłam go dziewięć razy — powiedziała Mara. — Teraz warunki stawia ten, kto odbiera.

— Składany teatrzyk jest na place — powiedziała Irena. — Muszę zobaczyć, że moje dzieciaki dadzą radę z nim iść ulicą. Jeśli nie, nie jest mi potrzebny. A nie podpisuję tego, co mi się nie przyda.

— To już słyszałam w piekarni — powiedziała Mara.

Miałem pytanie od chwili, gdy przeczytałem list, i zadałem je, zanim mi się zużyło.

— A dlaczego potrzeba trojga?

Zapytałem naprawdę. Pakunek z dwoma uchwytami; dwie osoby, po jednej przy każdym. Liczyłem na palcach i wychodziły mi dwie.

Nikt się nie roześmiał. Irena spojrzała na mnie znad okularów, jak patrzy się na element, który pasuje lepiej, niż się wydawało.

— Dobre pytanie. We wtorek, na podwórku, odpowiecie mi na nie sami.

Mara otworzyła księgę i zapisała swoje warunki. Warunki Mary zawsze mieszczą się w jednej dłoni; policzyłem je swoją i został mi kciuk:

- Nr 6: pożyczony do prób.
- Wychodzi z Ireną albo ze mną.
- Wraca złożony.
- Śpi tutaj.

Etykieta zostaje w pudle, a pudło u Mary.

Jak będzie spał na półce, o świcie nie ma dokąd wrócić. Dalej dziewięć pieczątek. Pytałam. —J.

We wtorek poszliśmy na podwórko centrum osiedlowego. Wchodzi się z chodnika przez żelazną bramę z wieloma warstwami farby, która sama się zamyka: puszczasz ją i wraca, powoli, aż do kliknięcia, jak pies, który siada bez polecenia.

Mara postawiła pudło na ziemi i zdjęła wieko. Po wyjęciu teatrzyk urósł, jak stojak Elii. Ja się już nie boję: wyjmuję miarkę.

Zamknięty był płaskim pakunkiem z drewnianych paneli i tkaniny, z uchwytem po każdej stronie i paskiem przechodzącym przez sprzączkę o trzech dziurkach. Metr na siedemdziesiąt

centymetrów i, bokiem, piędź. Brama, z jednym skrzydłem otwartym, dziewięćdziesiąt centymetrów. Bokiem mieścił się w bramie. To było łatwe.

Przede wszystkim Irena chciała sprawdzić, czy jest cały. Rozpięła pasek i obróciła pakunek. Panele rozłożyły się same, pod własnym ciężarem, jeden za drugim: klak, klak, klak. Scena z trzema ścianami, krótką kurtyną i oknem w ramie w panelu na końcu.

W oknie było widać Tonia, który przechodził chodnikiem z kanapką. Miał pełne usta. Nie mógł się przywitać. Zatrzymał się na chwilę, w ramie, z kaskiem na głowie i jednym policzkiem grubszym od drugiego, jak portret kogoś ważnego namalowany w porze obiadu.

— Jest cały — powiedziała Irena. — Zasada warsztatów: ręce na uchwytach. Na zawiasach nigdy. A na zakrętach ktoś przytrzymuje pasek.

Zapisałem to słowo w słowo.

Irena i Mara złożyły go i zapięły pasek.



— My spróbujemy — powiedziała Julita. Noa już stała przy drugim uchwycie.

Nie spojrzały na siebie, żeby to ustalić. Nawet tego nie powiedziały: każda poszła na swoją stronę, jak się idzie na swoje krzesło.

Doliczyły do trzech i go podniosły. Dały radę. Obeszły podwórko dookoła, powoli, z lekko rozstawionymi łokciami, a teatrzyk szedł między nimi bez kołysania, jak dobrze niesiona taca. Doszły do bramy. Brama była zamknięta.

Julita na nią spojrzała. Noa na nią spojrzała. Miały cztery ręce i wszystkie cztery były zajęte.

Stałem dwa metry dalej, z dwiema wolnymi rękami i zeszytem.

Irena, z tyłu, z teczką przyciśniętą do piersi, nie powiedziała nic. Ani „pomóż im”, ani „ty”.

Przytrzymałem bramę plecami. Przeszły. Irena coś zapisała w teczce.



Tego popołudnia wymyśliłem przyrząd do tego zeszytu. To piąty w mojej karierze, po drżymierzu, rumieniomierzu, tumierzu i hałasomierzu, i pierwszy, który nie mierzy jednej osoby, tylko kilka naraz. Nazwałem go MIERNIK TRZECH, „kto co robi na każdym odcinku”. Jeden wiersz na odcinek i trzy kratki, każda z rysunkiem:

- NIEŚĆ: dwie ręce na dwóch uchwytach.
- KIEROWAĆ: mówić, którędy i kiedy.
- TOROWAĆ DROGĘ: bramy, krawężniki, ludzie.

W pierwszym wierszu, „podwórko, pierwsza próba”, wpisałem „Julita i Noa”, „Julita i Noa” i jedną pustą kratkę. W drugim, „podwórko, druga próba”, to samo, ale w trzeciej kratce wpisałem „Guni”.

Dwa powtórzone imiona i pusta kratka: nie przejdzie. Z pełną kratką, tak. Miałem już odpowiedź dla Ireny i była moja.

I zapisałem jeszcze coś, mniejszego: „Bramę może też przytrzymać kamień”.

Napisałem to ołówkiem prawie bez nacisku.

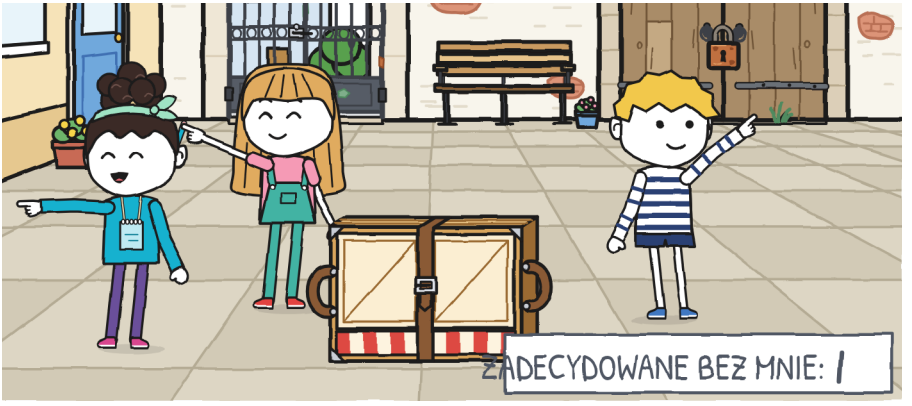
Trzeba było jeszcze zrozumieć etykietę.

— Dwie bramy to dwa skrzydła bramy — powiedziała Julita.

— Trzeba otworzyć oba — powiedziała Noa.

— Zmierzmy najpierw mur z zewnątrz — powiedziałem.

Wskazaliśmy we troje: Julita bramę, Noa salę, ja ulicę.



— Potem — powiedziały obie.

Powiedziały to jednocześnie i z tą samą melodią, jakby to ćwiczyły. Pewnie ćwiczyły. Przez lata.

Poszedłem sam. Wyszedłem przez bramę, która zamknęła się za mną z kliknięciem, i obszedłem mur, mierząc miarką odcinek po odcinku i zapisując każdą liczbę w zeszycie opartym o kolano. Mur był długi i wychodził na zaułek nad kanałem, pachnący stojącą wodą. I tam, za rogiem, coś znalazłem.

Wróciłem szybko, z tym czymś w głowie i miarką wciąż niezwiniętą, ciągnąc po chodniku metr żółci. Kiedy wszedłem,

Julita i Noa śmiały się z czegoś sprzed mojego przyjazdu do dzielnicy. Śmiały się ramionami, bez dźwięku, a Noa dotykała ramienia Julity, żeby przestała, i Julita nie przestawała.

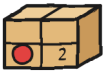
Otworzyłem usta.

— Już zdecydowane, Guni — powiedziała Julita. — To dwa skrzydła.

W dolnym rogu strony, małymi literami, ołówkiem, napisałem: ZADECYDOWANE BEZ MNIE. A obok kreskę. Napisałem to z wciąż otwartymi ustami.

Zamknąłem usta. I zeszyt.

Tę kreskę zobaczyłam dwa dni później. Była moja. –J.



ROZDZIAŁ 2

Kto zna drogę?

W środę była pierwsza trasa: ze sklepu na podwórko, ulicą, z teatrzykiem na plecach i ludźmi, którzy się gapią. Całą popołudniową lekcję spędziłem na rysowaniu miernika na marginesie kartki, z nowym wierszem i pustymi kratkami, żeby wypełnić je we troje.

Kiedy przyszedłem do sklepu, miernik był już wypełniony. Na zielono.

Julita otworzyła mój zeszyt na stronie z przyrządem i dopisała wiersz swoim reklamowym pismem: „sklep → podwórko". W kratce NIEŚĆ stało „Guni i Noa". W kratce KIEROWAĆ „Julita". W kratce TOROWAĆ DROGĘ znów „Julita". Flamaster leżał na wierzchu, odkręcony, jak dowód, którego nikt nie fatygował się ukryć.

— Ty i Noa niesiecie — powiedziała Julita. — Ja kieruję, bo znam drogę. A że idę z przodu, toruję drogę.

— Pomyślałyśmy o tym po drodze — powiedziała Noa.

Nie powiedziała tego, żeby wygrać. Powiedziała to tak, jak się podaje adres: bo to była prawda. Przyszły razem skądś i po drodze pomyślały. Ja po swojej pomyślałem to samo, ale na marginesie kartki, a to się nie liczy jako przyjście.

Zielonego nie da się zmazać. Druga kreska.



— Przed wyjściem moglibyśmy zrobić plan — powiedziałem. — Z ponumerowanymi skrętami.

Miałem go do połowy zrobionego w głowie: drzwi sklepu, krawężnik, sklep z butami, placyk, skręty z numerem w kółku, jak stacje pociągu.

— Plan nie jest potrzebny — powiedziała Julita. — Cały czas prosto, aż do kulawej ryby.

Noa wybuchnęła śmiechem. Julita też. Nie małym: takim, który zaczyna się u jednej i zaraża drugą, zanim pierwsza skończy, i wraca, i już nie wiadomo, kto go niesie.

— Jakiej ryby?

— Kulawa ryba to kulawa ryba — powiedziała Noa, wciąż zgięta wpół.

— To długa historia — powiedziała Julita.

— I bardzo dobra — powiedziała Noa.

Czekałem. Miałem ołówek w powietrzu, gotowy zapisać historię, na wypadek gdyby się przydała na drogę. Nie

opowiedziały mi jej. Uspokajały się powoli, wycierając oczy rękawem, a kiedy jedna patrzyła na drugą, wracało im trochę, jak czkawka.

Opuściłem ołówek. Trzecia kreska.



Mara wyjęła teatrzyk z pudła w drzwiach sklepu, na chodniku, a pudło zostało w środku z etykietą i dziewięcioma pieczątkami. Noa zapięła pasek na pierwszej dziurce.

— Dzięki temu szybciej się rozepnie, jak dojdziemy.

To był dobry powód. Zapisałem: „Dziurka 1: szybciej się rozpina". Reszty nie zapisałem, bo reszty jeszcze nie wiedziałem.

Ja szedłem z przodu, a Noa z tyłu, każde z jedną ręką na swoim uchwycie. Z przodu widać ulicę. Z tyłu widać tylko teatrzyk: metr drewna i malowanej tkaniny na piędź od nosa, jak chodzenie za szafą. Noa trzymała drugą rękę blisko paska, z przyzwyczajenia albo z zasady Ireny, i liczyła po cichu. Liczyła kroki. Słyszałem ją z przodu: „... dwadzieścia jeden, dwadzieścia dwa...", tym samym tonem, którym inni nucą.

Irena szła ostatnia, z teczką i gwizdkiem. Nie mówiła, którędy. Mówiła „stój", kiedy był krawężnik. Mówiła to raz, nie podnosząc głosu, i zatrzymywaliśmy się, i było tak, jakby cała ulica zatrzymała się razem z nami.

Julita torowała drogę bardzo dobrze. Szła kilka kroków przed nami tyłem i machała rękami jak ktoś, kto parkuje ciężarówkę.

— Przejście, idzie teatr!

Pani ze sklepu z butami wyszła w drzwi, żeby go zobaczyć, z na wpół zawiązanym butem w ręku. Jakiś pan z psem czekał w wejściu do domu; pies też czekał, co jest trudniejsze. Daleko, po drugiej stronie dzielnicy, zadzwonił dzwonek. Dzyń.

— BŁYSKAWICA ćwiczy swoją próbę — powiedziała Noa. — Jadą na rowerach, z kopertą. My idziemy pieszo, z tym.

— Z tym się nie biegnie — powiedziała Irena.

Tonio opowiedział mi to w poniedziałek: na każdej stacji BŁYSKAWICY trzeba dojechać we troje razem, inaczej się nie liczy. Zapisałem to wtedy, nie wiedząc po co.



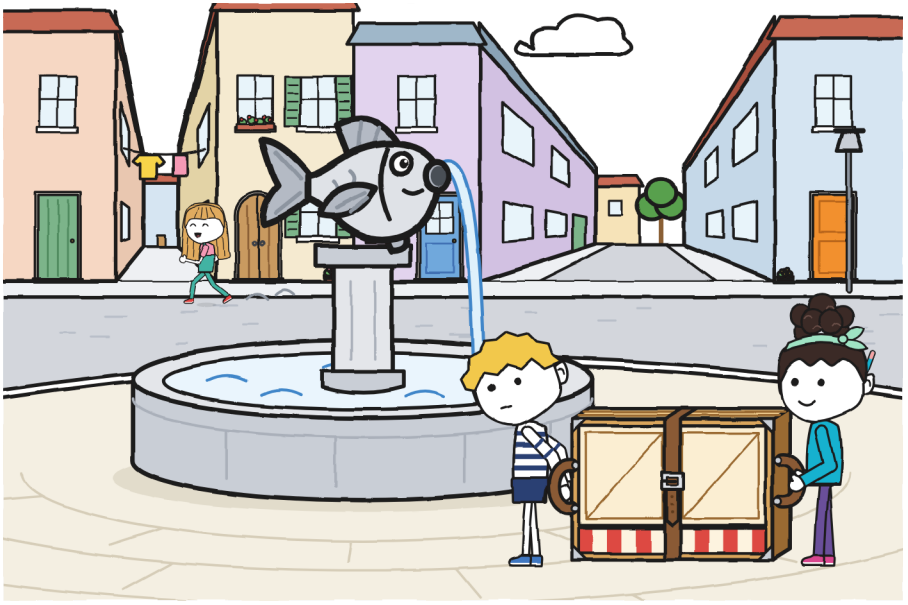
Doszliśmy do placyku z fontanną. Jest okrągły, z ławkami dookoła i gołębiami, które nie ustępują nikomu. Julita odwróciła się, krzyknęła wskazówkę i pobiegła w stronę środka, żeby przytrzymać bramę.

— Do kulawej ryby i skręcać!

I już jej nie było. Mignęły jej ogrodniczki między dwiema osobami, a potem nic.

Pośrodku fontanny stoi kamienna ryba, na szczycie niskiej kolumny, z otwartym pyskiem, jakby miała coś powiedzieć i się

rozmyśliła. Przyjrzałem się jej dobrze. Z mojej strony miała wszystkie płetwy.



Myślałem szybko, a to nie moja specjalność. Moja specjalność to myślenie powoli i z linijką. Ale teatrzyk ważył, Noa była z tyłu i nic nie widziała, a ulica szła dalej dookoła. Oparłem zeszyt o uchwyt i napisałem dwa wiersze:

1. Ryba z fontanny: płetwy na widoku, wszystkie. Nie jest kulawa. Będzie inna ryba.
2. Skręt: w którą stronę? Lewo, wąska ulica. Prawo, szeroka. Teatrzyk lepiej idzie po szerokim.

Pod spodem gruba strzałka w prawo. Rozumowanie było nienaganne. Jedyne, co miało źle, to początek.

— Skręcam już? — zapytałem do tyłu.

— Przy kulawej rybie! — powiedziała Noa zza teatrzyka.

Noa nie widziała nic poza drewnem. Stamtąd kulawa ryba była słowem, a słowo było dobrze powiedziane.

Szukałem dalej innej ryby. Oglądałem wejścia do domów, szyldy, sklep rybny, który okazał się sklepem żelaznym. Nie było. Skręciłem w prawo.



Nikt nie powiedział „skręt". Nikt nie przytrzymał paska. Na pierwszej dziurce sprzączka trzyma słabo.

Klak. Klak. Klak.

Panele rozkładały się powoli, jeden za drugim, dookoła Noi, jak liście karczocha, które ktoś otwiera od środka. Irena zagwizdała. Kiedy hałas ucichł, na środku ulicy stał teatr. A w teatrze Noa.

— Cześć — powiedziała przez okno.

Miała ręce w górze, daleko od zawiasów, tak jak jej kazano. Pasek zwisał do ziemi. Ja wciąż trzymałem w ręku swój uchwyt, który nie był już uchwytem niczego: był brzegiem sceny.

Irena spojrzała na ręce Noi. Potem na moje. Patrzyła naprawdę, palec po palcu, z obu stron. Wszystkie były całe: panele ważą mało i otwierają się powoli.



— Kto kierował? — zapytała.

Nikt nie odpowiedział. Ten, kto kierował, trzymał bramę dwie ulice dalej.

Złożyliśmy go we dwoje, Irena i ja, z rękami na bocznych belkach, bez pośpiechu, panel po panelu. Noa, już na zewnątrz, zapięła pasek i tym razem pociągnęła go dwa razy. Tymczasem zmierzyłem: od mojej stopy do fontanny, cztery metry. Zapisałem to z miarką wciąż rozciągniętą na ziemi, od mojego buta do kamiennego brzegu.

Julita wróciła biegiem.

— Przecież miało być przy kulawej rybie!

— Jakiej kulawej rybie?

— Tej! — Wskazała fontannę. — Po lewej. Jak zawsze.

— „Zawsze” to czas sprzed mojego przyjazdu.

Nie powiedziałem tego ze złością. Powiedziałem to tak, jak się poprawia datę. Julita została z ręką wyciągniętą w stronę fontanny sekundę za długo, a potem odwróciła się do Ireny, która miała teczkę otwartą.

— Guni się zgubił.

Nie zgubiłem się. Wiedziałem dokładnie, gdzie jestem: cztery metry od fontanny. Właśnie to zmierzyłem.

Noa patrzyła na nas po kolei, z zamkniętym notesem przyciśniętym do swetra. Irena coś zapisała. Nie powiedziała co.

To też zdecydowały beze mnie. Czwarta kreska.

Powiedziałam to na głos i przy ludziach. Wiem. –J.



Pokazały mi drugą stronę ryby. Obeszliśmy fontannę we troje, z teatrzykiem złożonym między Noą a mną, a Irena z tyłu. Brakuje jej płetwy, lewej. Z miejsca, do którego dochodzi się ulicą od sklepu, nie widać jej: ryba pokazuje dobrą stronę, jak ci, którzy pozują do zdjęć. Żeby ją zobaczyć, trzeba wiedzieć, że jej brakuje.

Narysowałem ją z obu stron, jedną obok drugiej. Ta sama ryba, dwie ryby.

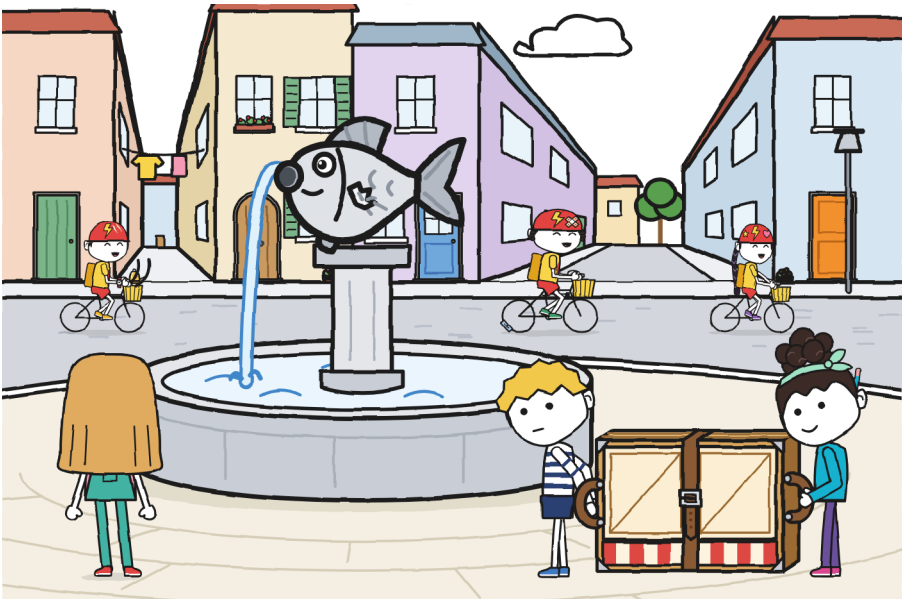
Powtórzyliśmy skręt. Wróciliśmy kilka metrów, do wylotu ulicy, i zrobiliśmy to jeszcze raz, teraz z Julitą u mojego boku. Za pierwszym razem powiedziałem „skręt" za wcześnie i Noa przytrzymała pasek przed wejściem do domu, na darmo. Za drugim za późno: z pół teatrzyka już w zakręcie i Noą szukającą paska po omacku. Za trzecim wyszło. Wyszło dobrze, bez klak. Ale nikt nie mówił. Nawet Julita, która zawsze mówi.

Wtedy jezdnią przejechała BŁYSKAWICA: Zoe, Bruno i Tonio, jedno za drugim, z rękami na kierownicy. Dzyń na rogu. Zoe z przodu, z warkoczem na wietrze; Bruno w środku, z kopertą w koszyku; Tonio ostatni, z palcem na dzwonku. Okrążyli fontannę bez hamowania i bez dotykania się, w tej samej odległości jedno od drugiego przez cały czas, jak wskazówki zegara, które nigdy się nie dogonią.

— Stacja pierwsza, za pierwszym razem — powiedział Tonio, przejeżdżając.

Nie powiedział tego dla nas. Tonio ogłasza dane na głos, nawet gdy nie ma nikogo, kto by je usłyszał; na tym polega bycie BŁYSKAWICĄ. Ale usłyszeliśmy.

Julita miała ręce opuszczone. Ręce Julity nie są nigdy opuszczone: chodzą, wracają, wskazują, torują drogę. Tego popołudnia, kiedy dzwonek się oddalał, zwisały po bokach jak dwa uchwyty bez teatrzyka.



Na podwórko doszliśmy prawie w nocy. Na ostatnim odcinku nie trzeba było kierować: brama była widoczna. Julita przytrzymała ją ręką i nie powiedziała „przejście!”. Mara czekała w środku. Schowała teatrzyk do swojego pudła i zaniosła go do sklepu, żeby spał na półce.

Zapisałem dzisiejszy dzień w mierniku, pod zielonym wierszem, i dodałem nową kolumnę, wąską, ołówkiem: „rozłożył się · powtórzone 3 razy”. Wszystkie trzy kratki miały imię, a mimo to na ulicy otworzył nam się teatr. Miernikowi czegoś brakowało. Nie wiedziałem czego. Narysowałem obok duży znak zapytania, taki, jaki stawiam, kiedy pytanie nie dotyczy dzielnicy, tylko przyrządu.

Moje imię jest dwa razy w tym wierszu. A mnie nie było w żadnym z nich. –J.



W domu, po kolacji, usiadłem przy biurku z zapaloną lampką i otworzyłem zeszyt na ostatniej stronie.

Narysowałem tam to, co znalazłem we wtorek za murem. Starannie, linijką, z metrami zapisanymi z zeszytem opartym o kolano. Wychodziło bardzo dobrze. Wychodziło tak dobrze, że patrzyłem na to chwilę z nieruchomym ołówkiem.

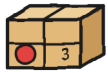
Mama zajrzała przez drzwi, żeby powiedzieć dobranoc. Wtedy miałem już rękę na rysunku. Powiedziała dobranoc, spojrzała na moją rękę, o nic nie zapytała i zamknęła drzwi.

Zakryłem go ręką, choć byłem sam. Z jednej strony wystawał kawałek muru i pół kłódki.

Pomyślałem: „Jutro znowu im nie wyjdzie. Wtedy go wyjmę".

Wydało mi się to dobrym planem. Miał nawet godzinę.

Tę stronę przeczytałam w czwartek. Nie spodobała mi się. Ta moja ze środy też nie. –J.



ROZDZIAŁ 3

Czy plan Guniego się nada?

Tej nocy, kiedy ręka zmęczyła się zakrywaniem, zrobiłem cały plan.

Podwórko widziane z góry, tak jak widzą je gołębie. Mur zmierzony odcinek po odcinku, z liczbami, które zapisałem we wtorek na kolanie. Brama, ze strzałką, że sama się zamyka. Fontanna, z rybą narysowaną ze złej strony, żeby już nikogo nie oszukała. Sklep w rogu, mały. Trzy odcinki, ponumerowane w kółku. A za murem to, co we wtorek.

Wyszedł mi bardzo dobry plan. Jeden z najlepszych, jakie zrobiłem, a zrobiłem ich wiele. Patrzyłem na niego chwilę z lampką pochyloną tak, żeby ołówek nie rzucał cienia. Potem złożyłem go na cztery, dociskając zgięcia paznokciem, i schowałem w zeszycie, między dwiema stronami, które nie miały z nim nic wspólnego.



W czwartek, w sklepie, Noa liczyła.

Stała na chodniku przed wystawą i szła w stronę krawężnika długimi krokami, wszystkimi jednakowymi, nie patrząc na stopy. Patrzyła przed siebie, tam, dokąd szła, i poruszała ustami.

— Od drzwi do krawężnika sześć kroków. Od krawężnika do latarni jedenaście.

— To się mierzy miarką — powiedziałem.

— Ja mierzę krokami. Mam je zawsze przy sobie.

Zastanowiłem się. To była prawda: miarkę trzeba wyjąć, rozciągnąć, przytrzymać stopą, a potem sama się zwija i gryzie w palec. Kroków nie zapomina się w domu.

— Ile mierzy twój krok?

— Jeden.

Zmierzyłem jej krok. Rozciągnąłem miarkę na podłodze sklepu, a Noa postawiła długi krok na wierzchu, swój, bez zastanowienia, jak ktoś, kto się podpisuje. Pochyliłem się, żeby odczytać znak: pięćdziesiąt osiem centymetrów. Ona zapisała w notesie. Ja w zeszycie. Oba pisma mówiły to samo: „1 krok Noi = 58 cm".

— A twój? — zapytała.

Nie wiedziałem. Zmierzyłem się. Postawiłem krok na miarce, normalny, taki do szkoły, a Noa pochyliła się, żeby go odczytać, bo ja z góry nie dosięgałem bez ruszenia stopy: pięćdziesiąt jeden centymetrów. Ona też to zapisała. Całe życie miałem kroki przy sobie i nigdy ich nie policzyłem.

Julita patrzyła na nas zza lady z założonymi rękami i uniesioną brwią, jak ktoś, kto widzi dwa zegary wskazujące tę samą godzinę.

Myślałem, że Noa będzie drugą Julitą. Nie jest. Noa liczy.



Poszliśmy na podwórko z Ireną. Julita i Noa chciały wypróbować swój pomysł: otworzyć oba skrzydła bramy.

Pierwsze skrzydło otwiera się i zamyka samo: znaliśmy je. Drugie się nie otworzyło. Pociągnęły je obie, każda dwiema rękami i z nogami wbitymi w ziemię, Julita czerwona, a Noa licząca na głos do trzech, i na trzy nic się nie stało. Irena pochyliła się, żeby obejrzeć. Ma farbę na farbie i śrubę na ziemi, która je przygważdża, grubą jak palec.

— No to etykieta jest błędna — powiedziała Julita.

— Na pewno — powiedziała Noa.

Zdecydowały to w dwie sekundy. Policzyłem. Wyjąłem ołówek na kreskę. Byłaby piąta.

Nie zrobiłem jej.

Ołówek został na palec od papieru. Spojrzałem na rząd kresek w rogu strony: cztery, dobrze zrobione, proste, wszystkie tej samej wielkości. Zrobiłem je bardzo starannie. I jednej brakowało.

We wtorek, za murem, ja też zdecydowałem coś, nie pytając nikogo: milczeć.

Pod ZADECYDOWANE BEZ MNIE, tym samym pismem i ołówkiem, napisałem drugi wiersz: ZADECYDOWANE BEZ NICH. I kreskę. Wyszła bardziej krzywa niż pozostałe.



— Etykieta nie jest błędna — powiedziałem. Wyszło głośniej, niż chciałem. — Podwórko ma jeszcze jedną bramę. Jest z tyłu, w zaułku nad kanałem. Jest stara i ma kłódkę. Znalazłem ją we wtorek.

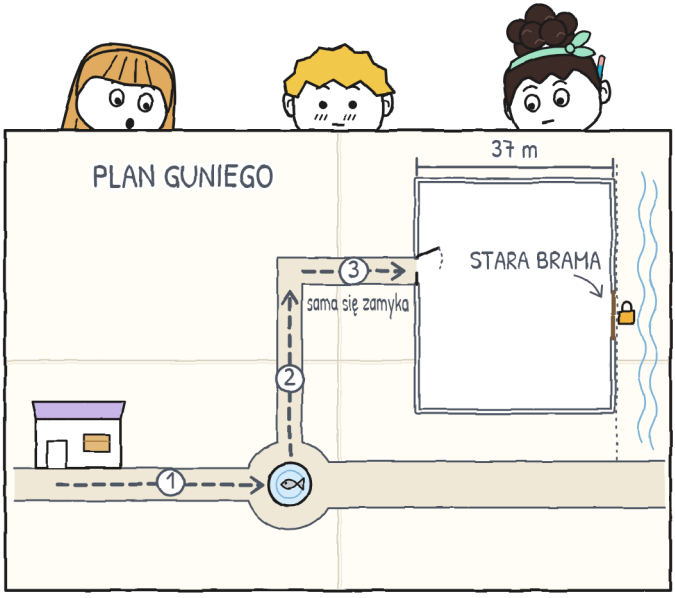
Wyjąłem plan spomiędzy stron i rozłożyłem go na złożonym teatrzyku, który leżał na ziemi i robił za stół. Zgięcia dzieliły go na cztery, na krzyż, jak okno.

— We wtorek? — powiedziała Julita.

— We wtorek. Zachowałem to, żeby mieć rację później.

Trzy głowy pochyliły się nad papierem. Mur: trzydzieści siedem metrów. Brama, z boku, z „sama się zamyka". A po przeciwnej stronie brama dwuskrzydłowa z kłódką narysowaną od frontu, żeby było dobrze widać: STARA BRAMA.

Przez chwilę nikt nic nie mówił. Zmierzyłem: to było długo. Było słychać szachy po drugiej stronie muru, figurę o szachownicę, od czasu do czasu, jak zegar, któremu się nie spieszy.



— Dobra — powiedziała Noa. I przerysowała bramę na swoją mapę.

Przerysowała ją turkusowym ołówkiem, starannie, licząc czubkiem kratki mojego planu, żeby postawić ją na miejscu. Niczego więcej nie zapytała. Dla Noi brama, która istnieje, to brama, którą się zapisuje.

Julita nie powiedziała „dobra". Poruszała stopą. Jej czerwony but chodził tam i z powrotem po ziemi podwórka, stuk, stuk, stuk, w rytmie, który znam: takim, jaki mają rzeczy, których nie powie się od razu.

— Wczoraj by nam się to bardzo przydało.

— No.

Wczoraj, z planem w zeszycie, zmierzyłem cztery metry od mojej stopy do fontanny, kiedy Noa była w środku teatru.

Na podwórku nie ma kąta. Nie szukałem go też. Zostałem tam, gdzie stałem, z rozłożonym planem i obiema rękami na wierzchu, żeby nie zabrał go wiatr.

Nie powiedziałam „dobra", bo jeszcze nie była to prawda. –J.



Poszliśmy obejrzeć ją we troje, z Ireną. Wyszliśmy przez bramę, która zamknęła się za nami z kliknięciem, i obeszliśmy mur. Noa policzyła go po cichu, ustami: sześćdziesiąt cztery kroki. Ja już go miałem: trzydzieści siedem metrów. Policzyłem w głowie, sześćdziesiąt cztery razy pięćdziesiąt osiem, i wyszło mi trzydzieści siedem i trochę. Wychodziło to samo.

Noa spojrzała na mnie, kiedy to powiedziałem. Nic nie powiedziała, ale zapisała „37 m" obok swoich kroków, a ja zapisałem „64 kroki" obok moich metrów.

Zaułek nad kanałem jest wąski i pachnie stojącą wodą. Na końcu widać barierkę, a za nią kanał, który płynie, nie patrząc. Stara brama jest z drewna, dwuskrzydłowa, szeroka jak łóżko olbrzyma. Noa zmierzyła ją od brzegu do brzegu: trzy kroki. Ja ją zmierzyłem: metr siedemdziesiąt pięć. Prawie dwie żelazne bramy. Drewno jest szare od deszczu, który na nie padał. Kłódka ma więcej rdzy niż kłódki.

Julita dotknęła jej jednym palcem, samym końcem, tak jak dotyka się czegoś, co mogłoby ugryźć.

— Jest zamknięta od lat — powiedziała Irena. — Zawsze ją tak widziałam.

Irena przeszukała rejestr centrum, który nosi w teczce, kartka po kartce, przewracając je zwilżonym kciukiem, aż do żółtej kartki.

— Jest. Kiedy ta brama była używana, na podwórko wchodziło się dwoma miejscami: przez żelazną bramę albo tędy. Nazywali je „tym z dwiema bramami". A ze wszystkich grup tylko teatr ćwiczy na podwórku.

Na kartce był stary plan, tuszem, podwórka z dwiema bramami i napis: PODWÓRKO Z DWIEMA BRAMAMI. Był podobny do mojego. Starszy i gorzej zmierzony, ale podobny. Policzyłem bramy: dwie. Na moim też dwie. Po raz pierwszy cudzy plan przyznał mi rację, a narysował go ktoś dużo przed tym, zanim dowiedziałem się, gdzie jest ta dzielnica.

— Czyli etykieta nie jest zagadką — powiedziała Noa.

— To jest adres — powiedziałem.

„Warsztat na podwórku. Wejście przez dwie bramy." Była dobrze napisana. Była po prostu stara.

Mara powiedziała potem, że tę kłódkę widziała dziewięć razy. Myślała, że zamknięta brama się nie liczy. —J.

Klucz był w teczce, w kopercie: „Stara brama. Nie zgubić”. Irena wyjęła go dwoma palcami, spojrzała na niego tak, jak się patrzy na kogoś, kogo się dawno nie widziało, i otworzyła kłódkę. Szło ciężko. Najpierw się nie obracał; potem obrócił się naraz. Brama wydała dźwięk jak okręt.

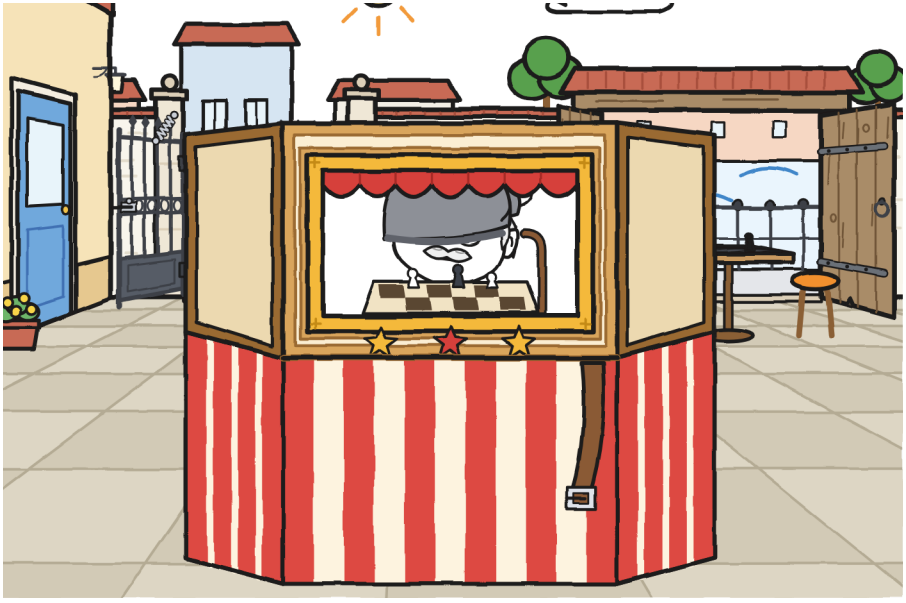
W środku, na podwórku, szachiści wynieśli stoły na słońce. Nikt nie podniósł głowy. Brama, która była zamknięta latami, otwiera się obok nich z okrętowym dźwiękiem, a szachiści nie podnoszą głowy: to też jest sposób grania.

Irena rozłożyła teatrzyk pośrodku, żeby zobaczyć, ile miejsca zostaje między dwiema bramami. Rozłożyła go z Noą, obie z rękami na bocznych belkach. Klak, klak, klak. Zostawało aż nadto.

W oknie teatrzyka było widać pana Antoniego, z beretem nasuniętym na oczy i laską między kolanami, przed szachownicą. Namyślał się nad posunięciem. Trochę chrapał. Zostawiłem go w ramie na dłuższą chwilę, patrząc, i nie chciałem się ruszać, żeby nie zmienić obrazu.

— W sobotę otworzę obie — powiedziała Irena. — Rowery wjadą starą bramą, od zaułka nad kanałem. Ładunki niesione pieszo, przez żelazną bramę, od chodnika. Dzięki temu się nie skrzyżują.

— Ale stara jest szersza — powiedziała Julita. — I nie zamyka się sama.



— A żelazna jest wasza. Jeśli warsztaty zaniosą teatrzyk na jakiś plac, będą gorsze bramy.

Julita otworzyła usta. Trzymała je otwarte chwilę, z gotowym zdaniem, i nie powiedziała go. Spojrzała na Noę. Spojrzała na mnie.

— A ty co mówisz?

To był pierwszy raz przez cały tydzień. Zapisałem to z datą: „Czwartek 29. A ty co mówisz?”. Zapisałem to, zanim odpowiedziałem, żeby nie zapomnieć pytania, kiedy myślałem nad odpowiedzią.

Powiedziałem, że żelazna brama, ale przećwiczona. Noa powiedziała to samo. Julita powiedziała „dobra” i tym razem to była połowiczna prawda. O połowę więcej niż wcześniej.

Potem poprawiliśmy miernik. Położyliśmy go na złożonym teatrzyku, który był już naszym stołem na zawsze, choć był nim dopiero od dwóch dni. Miał trzy kratki i żadna nie nadawała się do wczorajszego dnia ani do mojego.

Nową kratkę narysowaliśmy we troje. Ja zrobiłem ramkę, ołówkiem. Julita napisała nazwę, na zielono. Noa zrobiła rysunek, na turkusowo: usta z kreskami, takimi, jakie wychodzą z radia.

- UPRZEDZAĆ: mówić to, co się wie.

W wierszu środowym, w nowej kratce, Julita napisała: „nikt”. W wierszu wtorkowym napisałem ja: „Guni, nie”. Napisałem to powoli, moim zwykłym pismem, ani większym, ani mniejszym, i nie wymazałem.

Miernik trzech ma cztery kratki. Nie narzekam. Czwarta jest tą, która kosztuje mnie najwięcej. –J.

Wróciliśmy przez fontannę. Był wieczór, a woda zrobiła się w kolorze zeszytu. Zatrzymałem się przed rybą, z jej kulawej strony. Brakowało jej płetwy tak samo jak w środę, ale teraz już umiałem na nią patrzeć.

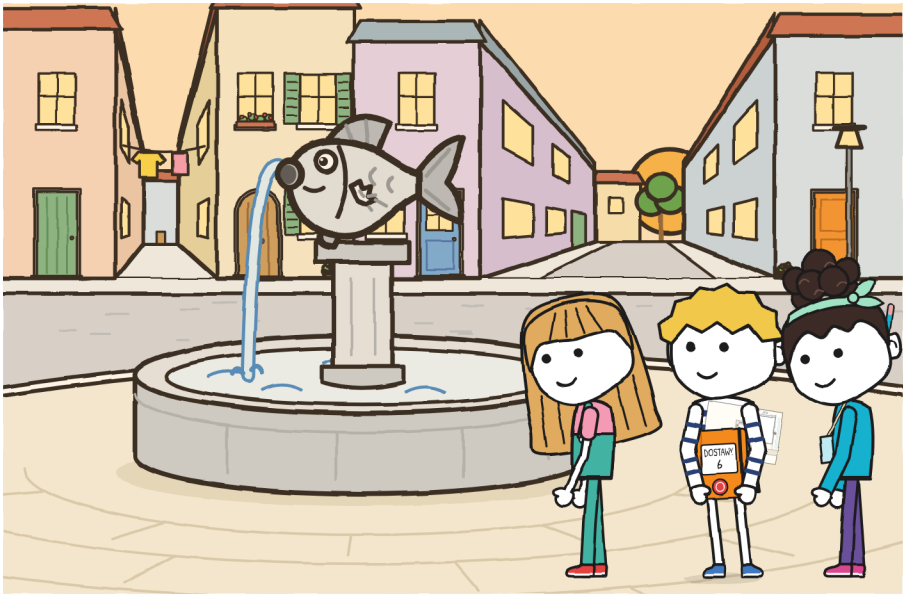
— Opowiecie mi tę historię?

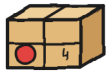
Julita i Noa spojrzały na siebie. Nie roześmiały się. Coś im się pokazało, róg środowego śmiechu, i schowały go, każda swój.

— Jest długa — powiedziała Julita.

— W sobotę — powiedziała Noa. — Jeśli dojdziemy.

To nie było „nie”. Schowałem plan w zeszycie, tym razem niezłożony, z połową planu wystającą na zewnątrz.





ROZDZIAŁ 4

Czy każdy może kierować?

W piątek Tonio przyszedł do sklepu z zegarkiem, ołówkiem i listą zgłoszeń BŁYSKAWICY przypiętą klipsem do podkładki. Położył ją na ladzie, żebyśmy ją zobaczyli, tak jak się kładzie trofeum, którego jeszcze nie zdobyto.

GIMKANA DZIELNICY · SOBOTA 31. Drużyna: BŁYSKAWICA. Pod spodem trzy ponumerowane imiona: Zoe, Tonio, Bruno. Wszystko tym samym ostrym pismem, które nie było pismem Tonia. Żadne imię nie było skreślone.

— Wypełniła ją Zoe — powiedział. — Bruno jej podyktował: „Bruno, przez u".

— A Zoe?

— Napisała Bruno. Przez u.

Sprawdziłem. U było i było bardzo zdecydowane, takie, jakie się pisze, kiedy ktoś patrzy ci na ołówek.

Potem usiadł na swoim pudle, tym „na razie", i wyzerował zegarek kliknięciem, które słychać było w całym sklepie.

— Dziś mierzę czas. Nie opiniuję. Zapisuję, co trzeba powtórzyć.

Tonio jest z BŁYSKAWICY i jest ze sklepu, a tego popołudnia wyglądał, jakby ustalił, jak być jednym i drugim naraz: na podkładce lista jego drużyny; na nadgarstku nasz czas.



Były trzy pomysły, po jednym na głowę. Noi: zmiany. Trzy odcinki i na każdym kieruje kto inny. Mój: żeby kierowanie i torowanie drogi robiła ta sama osoba, ta, która idzie wolna, bo ci dwoje, co niosą, widzą tylko teatrzyk; wiem, bo w środę byłem jednym z nich i widziałem głównie malowaną tkaninę. Julity: zacząć już.

Powiedziałem, że najpierw trzeba obejrzeć całą drogę, na planie.

— Obejrzymy ją idąc — powiedziała Julita.

Wygrała ona. Idąc, drogę ogląda się bardzo szybko.

— Kto kieruje pierwszy? — zapytała Noa.

Wskazaliśmy wszyscy troje naraz. We wtorek już to zrobiliśmy i każde wskazało inne miejsce: bramę, salę, ulicę. Tym razem nikt nie wskazał miejsca. Ja wskazałem Noę, Noa wskazała Julitę, a Julita wskazała mnie. Trzy ręce w kółku, jak szprychy koła, które nie ma zamiaru się kręcić, a pośrodku, na ziemi, złożony teatrzyk. Nikt nie wskazał siebie.

Tonio zapisał to, nie podnosząc wzroku. Irena czekała w drzwiach, z teczką przyciśniętą do piersi, też nie opiniując. Tego popołudnia w sklepie były dwie osoby, które nie opiniowały, i trzecia, Mara, która nigdy nie opiniuje głośno, więc plan ułożyliśmy, idąc dookoła kółka:

1. Sklep → fontanna: kieruje Julita.
2. Fontanna → róg: kieruje Guni.
3. Róg → podwórko: kieruje Noa.



Zanim podnieśliśmy teatrzyk, Julita powiedziała:

— Jedna rzecz.

Nie zapowiedziała tego. Stanęła przede mną; nie przed teatrzykiem, nie przed Noą, nie przed drzwiami: przede mną, z rękami przyklejonymi do ciała, jakby je sobie związała, żeby jej nie uciekły.

— W środę dałam wskazówkę, którą rozumiała tylko Noa, a potem powiedziałam, że ty się zgubiłeś.

Nic więcej nie powiedziała. Nie musiała: było w tym wszystko. Co się stało, kto to zrobił i komu. Ja, żeby powiedzieć to samo, potrzebowałbym strony, a na dole przypisu z gwiazdką.

Spojrzałem na jej stopy. Stopy Julity są stworzone do odchodzenia; kiedy mówi, jedna z nich już idzie gdzie indziej. Tym razem obie stały nieruchomo, razem, wbite w płytki, jakby zaparkowała je z zaciągniętym hamulcem. Za mną Noa, z ręką

już na swoim uchwycie, patrzyła w ziemię z wielkim zainteresowaniem, żeby nie przeszkadzać. Tonio trzymał ołówek zatrzymany centymetr od kartki.

— Dobra — powiedziałem.

Nauczyłem się tego od Noi, w czwartek. Wyszło mi w całości.

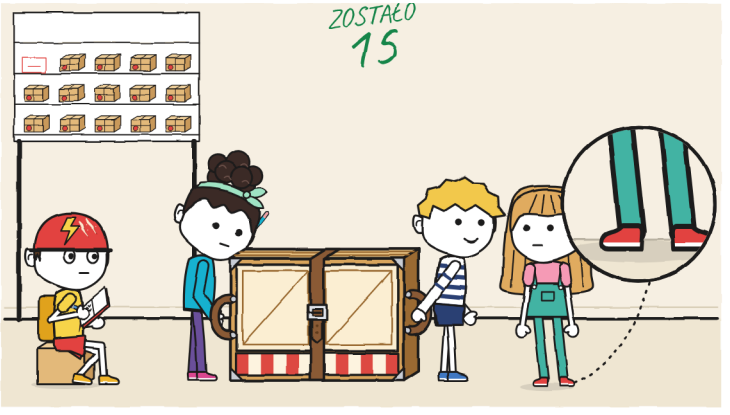
A że nie umiem niczego przyjąć bez pytania, zadałem jedno:

— Z której strony rybie brakuje płetwy?

— Z lewej, patrząc od strony, z której przychodzisz — odpowiedziała Julita, nie myśląc, jak ktoś, kto nauczył się odpowiedzi na pamięć. — Przy fontannie skręt w lewo. Uprzedzę cię pięć kroków wcześniej.

— To jest wskazówka.

Miała stronę, miejsce i ostrzeżenie. Przepisałem ją dokładnie do zeszytu, z jej „patrząc od strony, z której przychodzisz", czyli dokładnie tym, czego brakowało w środę.



Obie stopy w miejscu. Sprawdź na rysunku. –J.



Odcinek pierwszy. Noa zapięła pasek na drugiej dziurce. Ja powiedziałem, że na trzeciej trzyma lepiej.

— Na trzeciej dłużej się rozpina — powiedziała Noa. — A po dojściu jest pośpiech.

Powiedziałem to raz, na głos, i przegrałem. Uchwyty ważyły tyle samo.

Wyszliśmy. Irena, ostatnia, o dziesięć kroków za nami, z teczką; Tonio jezdnią, z rowerem w ręku i oczami na nadgarstku. Julita szła trzy kroki przed nami, a przy wejściu na placyk uniosła rękę w lewo.

— Pięć kroków... Skręt w lewo!

— Pasek! — powiedziała Noa. I go przytrzymała.

Obeszliśmy kulawą rybę, jakbyśmy robili to od zawsze. Z mojej strony ryba wciąż miała wszystkie płetwy; nauczyłem się jej nie ufać. Żadnego klak.

— Odcinek pierwszy: sześć minut — powiedział Tonio. — Powtórzone: nic.

Przy fontannie zamieniliśmy się. Julita i Noa przy uchwytach; ja wolny. To był pierwszy raz w życiu, kiedy kierowałem czymś, co nie było ołówkiem.

Przygotowałem się. Poprzedniego wieczoru, pod lampką, zmierzyłem na planie wąską ulicę: dwa krawężniki, wystające wejście do domu, kratka ściekowa, która tańczy, i przejście dla pieszych. Krótka droga, ich, przechodzi po przekątnej tam, gdzie nie ma pasów. Moja schodzi z krawężnika, przechodzi po pasach i znów wchodzi na górę: dziewięć kroków więcej i dwa „stój", których tamta nie ma. Ponumerowałem wszystko. Ale plan nie ma pań.

Ja kieruję tak:

— Trzy kroki. Stój. Krawężnik. W górę. Dwa kroki. Stój. Pani.

Pani szła z naprzeciwka z wózkiem na zakupy.

— Dzień dobry.

Odpowiedziała na pozdrowienie. Ja nie opuściłem ręki.

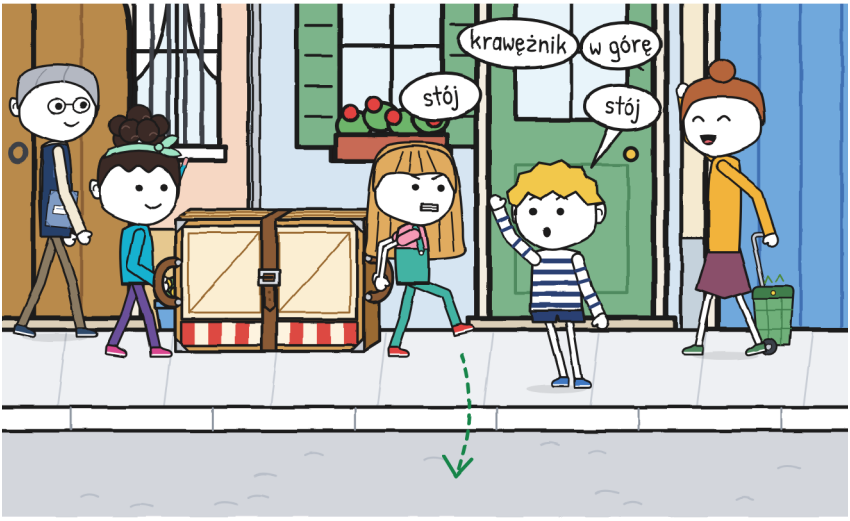
— Pani przechodzi. Cztery kroki.

Szedłem bokiem, jak kraby i policjanci, z jedną ręką w górze. Ręka w górze to jedyne, co ma policjant drogowy, i autobusy go słuchają. „Stój" słyszałem od Ireny w środę: ona nie mówi, którędy; mówi „stój", kiedy jest krawężnik. Wtedy wydało mi się to mało. Z miejsca, z którego się kieruje, wydaje się bardzo dużo: to jedyne słowo, które zatrzymuje naraz dwie osoby, teatr i, jeśli trzeba, panią.

— Stój. Kratka. Przejdziemy po brzegu, nie przez środek. Dwa kroki.

Julita szła przodem, ze swoim uchwytem, nie mówiąc ani słowa. U Julity to jest wiadomość. Noga uciekała jej sama w stronę krótkiej drogi: wychodziła po przekątnej, tak jak ręka sięga do dzwonka znajomego domu, zostawała na chwilę w powietrzu i wracała na moją linię. Odprowadzała ją do mojej. Widziałem, jak to robi cztery razy. Za czwartym razem zacisnęła wargi i nie rozluźniła ich aż do rogu.

Noa, z tyłu, poruszała ustami. Pomyślałem, że liczy kroki, jak zawsze. Na jezdni Tonio patrzył na zegarek, potem na mnie, potem na zegarek, jak ktoś, kto porównuje dwie rzeczy, które się ze sobą nie zgadzają.



— Stój. Róg.

Doszliśmy. Nikt nie musiał się cofać.

— Odcinek drugi: jedenaście minut — powiedział Tonio. — Nigdy wolniejszego nie mierzyłem. Powtórzone: nic.

Jedenaście minut to dużo minut. Było mi to obojętne. Minuty zapisał Tonio; to drugie zapisałem ja, małym pismem, żeby się nie zużyło: po raz pierwszy czymś kierowałem i nie trzeba było nic powtarzać.

— Powiedziałeś „stój" czternaście razy — powiedziała Julita.

— Liczyłam — powiedziała Noa. — Piętnaście.

Czyli nie liczyła kroków.

— Sześć było niepotrzebnych — powiedziała Julita. — Ale na wszystkich stanęłam.

— Żadne nie było niepotrzebne — powiedziałem.

— Sześć.

Tonio nie zapisał, kto miał rację. Zapisał liczbę: „«stój»: 15 (liczy Noa)". Julita odkręciła flamaster i narysowała obok, na zielono, ślimaka w kasku BŁYSKAWICY. Tonio patrzył na niego chwilę. Nie wymazał. W kartce Tonia nic się nie wymazuje.

Nie kłóciłam się o żadne. Bolały mnie zęby od zaciskania. –J.



Odcinek trzeci, od rogu na podwórko. Niosłem z Julitą; kierowała Noa, z mapą gimkany, którą Irena rozdała wszystkim drużynom.

Po dwudziestu krokach zatrzymała się, tam gdzie zaczyna się zaułek nad kanałem.

— Nie wychodzi.

— Co nie wychodzi?

— Mapa prowadzi nas tędy. Aż do starej bramy. A my wchodzimy przez żelazną, która jest po drugiej stronie.

Julita zaczęła się do niej odwracać, żeby zobaczyć, z całym teatrzykiem za zakrętem i nikim przy pasku.

— Na ziemię — powiedziałem.

— Zerkniemy na sekundę i idziemy dalej.

— Najpierw się odstawia. Potem się dyskutuje.

Julita spojrzała na pasek, spojrzała na mnie i opuściła swoją stronę. Ja opuściłem swoją. Teatrzyk został na chodniku, płaski i posłuszny, a tak jest mu najlepiej.

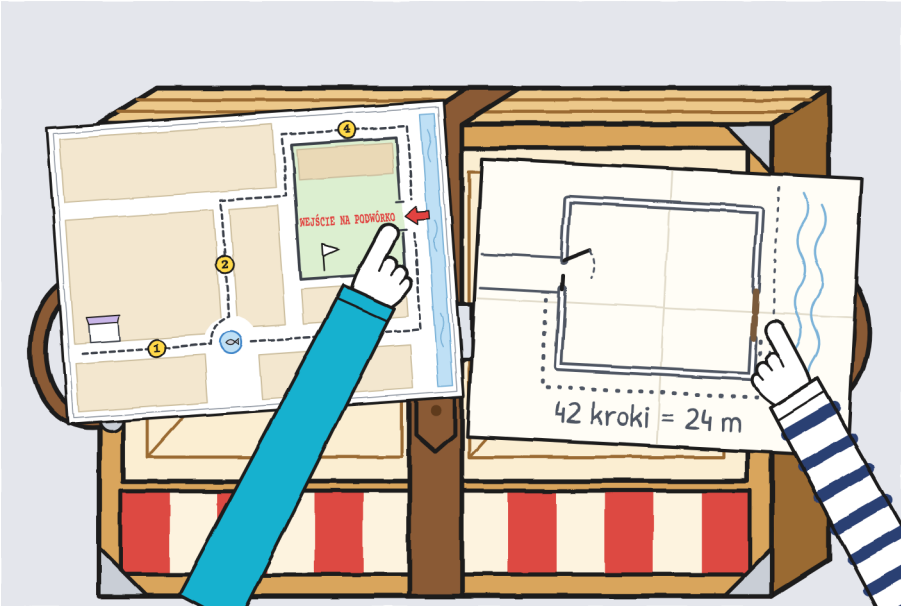
Położyłem mój plan obok jej mapy, na teatrzyku, który znów robił nam za stół. Od czwartku noszę go niezłożony i widać to: zajmuje pół zeszytu i wystaje u góry jak język. Na mapie gimkany była tylko jedna wejściowa brama, ze strzałką czerwoną, i nie była to żelazna brama: była to stara brama. Ta z kłódką. Ta, którą we wtorek znalazłem sam i milczałem o niej dwa dni.

— To stara mapa — powiedziałem. — Z czasów, kiedy wchodziło się tamtędy.

Noa położyła palec na swojej, a ja na mojej. To samo miejsce, na dwóch papierach.

Stamtąd do żelaznej bramy było czterdzieści dwa kroki Noi. Albo dwadzieścia cztery moje metry. Jej krokiem i moją miarką można zmierzyć całą dzielnicę.

— Powiemy Irenie? — zapytała Julita.



Irena stała o dziesięć kroków, z teczką. Słyszała wszystko, jestem pewien, i czekała, aż jej powiemy, jak się czeka, aż ktoś skończy zdanie.

— I innym drużynom — powiedziała Noa. — Inaczej piesi wejdą wszyscy w zaułek. Z rowerami.

Wyobraziłem sobie zaułek w sobotę: pięć drużyn, każda ze swoim ładunkiem, i trzy rowery BŁYSKAWICY dzwoniące dzwonkiem przed jedną bramą.

Nic nie powiedziałem. Zgadzałem się. Zgoda nie zostawia kreski.

Irena usiadła na ławce na podwórku z wszystkimi mapami na kolanach i poprawiła je jedna po drugiej czerwonym flamastrem: skreślała starą strzałkę i rysowała dwie, jedną z rowerem przy starej bramie i drugą z pakunkiem przy żelaznej. Tonio porównał swoją z moim planem, linia po linii.

— BŁYSKAWICA miała wejść tam, gdzie mówiła mapa.

— Wy wchodzicie tam — powiedziała Irena. — Dla rowerów mapa była dobra. Przypadkiem.

Tonio został z oczami na swojej mapie, z miną kogoś, kto dowiaduje się, że miał rację, nic dla tego nie robiąc, a w BŁYSKAWICY to nie punktuje.



Wróciliśmy na róg i powtórzyliśmy odcinek trzeci, teraz do żelaznej bramy. Niosłem z Julitą, a Noa kierowała, torowała drogę i uprzedzała, wszystko naraz:

— Stój! Przytrzymuję skrzydło! Przechodź!

Przeszliśmy. Wypełniłem miernik. W wierszu „róg → podwórko” wpisałem: Guni i Julita, Noa, Noa, a w czwartej

kratce „Noa: «mapa jest błędna»”. Każde imię w swoim kolorze: ołówek, zieleń i turkus.

To był pierwszy wiersz ze wszystkimi kratkami wypełnionymi. Kratkę do uprzedzania wymyśliliśmy w czwartek przeze mnie i zainaugurowała ją Noa. Napisałem jej imię najczytelniejszym pismem, jakie mam.

Przytrzymała ją plecami, jak ty we wtorek. Zapisuję ja. –J.



Tonio pokazał nam swoją kartkę. U góry stało, wielkimi literami, CO TRZEBA BYŁO POWTÓRZYĆ:

- Środa: skręt przy fontannie, 3 razy.
- Piątek, odcinek 1: nic.
- Odcinek 2: nic (wolno).
- Odcinek 3: wejście. To nie wina drużyny: to wina mapy.

A na dole, podkreślone dwa razy: „Najczęściej powtarza się nie kroki. Najczęściej powtarza się wskazówki.”

— To ostatnie to opinia — powiedziała Julita.

— To fakt — powiedział Tonio. — W BŁYSKAWICY źle powiedziany kierunek płaci się dwa razy: w jedną stronę i w drugą.

Włożył kask i poszedł ćwiczyć swoje. Na pierwszym rogu: dzyń.

Wieczorem, w sklepie, Mara schowała teatrzyk do pudła i pudło znów było pudłem takim jak wszystkie. Zanim wieko opadło, Noa spojrzała na sprzączkę.

— Jutro na trzecią dziurkę. Nawet jeśli dłużej się rozpina.

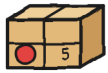
Powiedziała to, patrząc na sprzączkę, nie na mnie. To było to, co ja powiedziałem przed wyjściem. Nie zapisałem tego w wygranych: zdecydowała to ona, o swojej porze, a to idzie do innej kolumny.

Otworzyłem zeszyt na rogu z kreskami: cztery z ZADECYDOWANE BEZ MNIE i pod nimi moja. Dziś nie zrobiłem żadnej. Przejrzałem dzień z ołówkiem w powietrzu, tak jak się przegląda rachunek, zanim się go uzna za dobry. Policzyłem cztery niezgody. Wszystkie cztery powiedziałem na głos. Wygrałem jedną.

Piątek. Niezgody: 4. Powiedziane: 4. Wygrane: 1.

Na swojej półce pudło nr 6 miało wciąż dziewięć pieczątek. Dziewięć. Ani jednej więcej.

Tę, którą wygrałeś, to ta o odstawieniu teatrzyka na ziemię przed dyskusją. Tę ci daruję. —J.



ROZDZIAŁ 5

Czy ważne, kto pierwszy?

W sobotę włożyłem pomarańczową sobotnią koszulkę. To nie przesąd: w soboty dzieją się rzeczy i wolę być ubrany zawsze tak samo, żeby móc je porównywać.

— Pasujesz do zeszytu — powiedziała Julita.

Przyłożyłem zeszyt do koszulki, żeby sprawdzić. Miała rację, z różnicą jednego odcienia.

O jedenastej na podwórku obie bramy były otwarte po raz pierwszy od wielu lat i ludzie wchodzili jedną i drugą: rowery starą, od zaułka nad kanałem; piesi żelazną, od chodnika. Stara brama, otwarta na oścież, wyglądała na bardziej zdziwioną niż ktokolwiek. Od muru do muru wisiały chorągiewki, a na stole stał napis META. Flora siedziała w pierwszym rzędzie ze swoim termosem, jak ktoś, kto przyszedł zobaczyć, jak przechodzi pochód, i zamierza zostać na fajerwerki. Pani ze sklepu z butami stała z założonymi rękami. Wera trzymała Kruszynkę na rękach; Kruszynka kręciła głową ku każdej rzeczy, która się poruszała, a

tego ranka poruszało się wszystko. Na szczycie muru siedziała sroka. Nikt jej nie zapraszał.

Irena weszła na ławkę i zagwizdała. Zapadła cisza jak na szkolnym podwórku, czyli cisza z dużym hałasem pod spodem.

— Każda drużyna niesie swój ładunek aż tutaj, przechodząc przez wszystkie stacje. Z ładunkiem się nie biegnie. Kto pobiegnie, powtarza odcinek. A czas zyskuje ten, kto nie powtarza.

Zapisałem to słowo w słowo. To był pierwszy raz, kiedy zasada jakiejś gry wydała mi się napisana dla mnie.



Na liście było pięć drużyn, przypięta pinezkami do tablicy korkowej:

1. BŁYSKAWICA (Zoe, Tonio, Bruno)
2. CHÓR
3. SZACH
4. IGŁY
5. NOA + 2

BŁYSKAWICA niosła kopertę, na rowerach. Chór pulpit na nuty. Szachiści ogromną szachownicę. Krawcy manekina bez głowy. Naszą zapisała Noa w poniedziałek, zanim mnie poznała.

— Jesteśmy „Noa + 2” — powiedziałem do Julity.

— Ja jestem tą dwójką — powiedziała ona. — A ty jesteś tym „plusem”.

Spojrzałem na krzyżyk między nazwą a liczbą. Nigdy nie był znakiem. Zapisałem go jako stanowisko.

Każda drużyna startowała z bramy, w której spał jej ładunek. Nam dał start pan Antoni, który mieszka blisko i nie biega.



W drzwiach sklepu Mara wyjęła teatrzyk z pudła i teatrzyk urósł do swojego ulicznego rozmiaru. Noa szybko zapięła pasek i podnieśliśmy go.

Klak. Jeden panel otworzył się na pięć, jak usta, które sobie coś przypomniały.

— Na ziemię — powiedziałem.

Nikt się nie sprzeczał. Opuściliśmy go wszyscy troje naraz, powoli, jakby w środku niósł jajko. Za drugim razem Noa zapięła pasek bez pośpiechu, na trzeciej dziurce, i pociągnęła go dwa razy, żeby sprawdzić. Ja spojrzałem na sprzączkę, a potem na ulicę. Obie były w porządku.

Pan Antoni zdjął beret i opuścił go gwałtownie, na znak startu.

— Spokojnie — powiedział — tak się dochodzi.

Mara zamykała pochód, z pustym pudłem pod pachą. Bez niczego w środku wyglądało na większe.

Odcinek pierwszy. Kierowała Julita.

— Pięć kroków... Skręt w lewo!

— Pasek!

Okrążaliśmy powoli kulawą rybę, zajmując cały róg, kiedy nadjechała Zoe na rowerze. Jechała pierwsza ze wszystkich. Zahamowała i postawiła stopę na ziemi.

— Przejdźcie wy. Z tym się nie biegnie.

Poczekała, aż wyjdziemy z zakrętu. Potem pojechała. Wyprzedziliśmy ją na dwadzieścia sekund. Zmierzyła to sama.

Zahamowała gwałtownie. Warkocz dohamował trochę później. –J.

Na każdej stacji pieczętowano kartę. Tę z piekarni trzymała Elia, która pieczętowała kciukiem pełnym mąki i naciskała, jakby karta była ciastem, które trzeba zostawić do odpoczynku. Na naszej zostawiła trzy białe odciski, po jednym na głowę, choć doszliśmy wtedy, kiedy na karcie BŁYSKAWICY mąka już zdążyła wyschnąć.

BŁYSKAWICA przejechała obok nas trzy razy, za każdym razem inną ulicą. Zza teatrzyka BŁYSKAWICA wyglądała jak zegar z kukułką: wyskakiwała, dzwoniła i chowała się. Tonio miał obie ręce na kierownicy i dzwonił dzwonkiem na rogach. Bruno wiózł kopertę. Zoe jechała z przodu i czekała na nich na każdej stacji, nie dotykając karty, dopóki nie było całej trójki. Za

drugim razem Tonio nie spojrzał na zegarek: spojrzał na nas. To było najbliższe opinii, jakie widziałem u niego przez cały dzień.

Na odcinku drugim niosły Julita i Noa, a kierowałem ja. Wyprzedził nas chór, z pulpitem. Biegnąc. Zabrzmiał gwizdek Ireny, która była wszędzie naraz, i chór wrócił do fontanny, śpiewając cicho, tak, jak się śpiewa, kiedy trzeba powtórzyć odcinek.

Wyprzedzili nas szachiści, z szachownicą bokiem i figurami w torbie, która brzmiała jak grad. Wyprzedził nas nawet manekin, poziomo, niesiony przez troje krawców idących na palcach, jakby manekin spał. Kiedy wyprzedza cię manekin bez głowy, to doświadczenie, którego nie umiem zmierzyć, i próbowałem.

Julita nie pobiegła. No dobrze: noga jej uciekła. Przywróciła ją.

— Czy ważne, kto pierwszy? — zapytała.

— Etykieta nie mówi „pierwszy" — powiedziała Noa. — Mówi „złożone".

— Krawężnik — powiedziałem.

Weszliśmy na niego.

Chór powtórzył odcinek śpiewając. Z powrotem stroił lepiej. —J.

Odcinek trzeci. Noa kierowała aż do żelaznej bramy. Tam postawiliśmy teatrzyk na ziemi.

— Kto otwiera? — zapytała Julita. I czekała na odpowiedź.

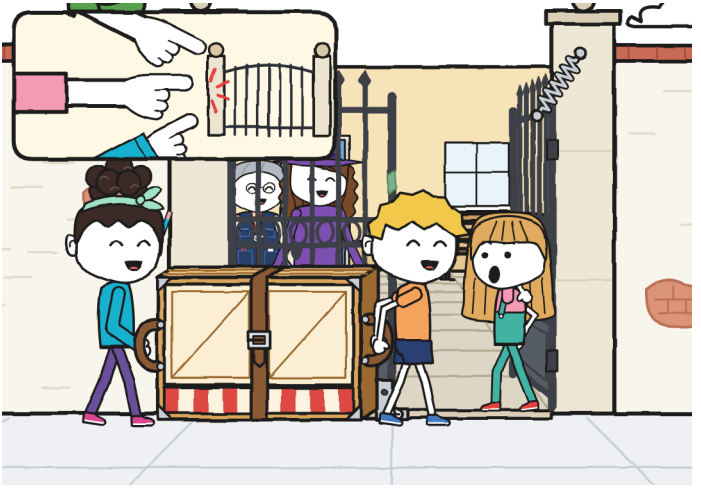
Wskazaliśmy wszyscy troje naraz. To był trzeci raz w tygodniu. We wtorek każde wskazało inne miejsce. W piątek każde inną osobę. Tym razem wszyscy troje to samo miejsce: Noa wskazała bramę, Julita wskazała bramę i ja wskazałem bramę. Potem się roześmialiśmy, bo tak się nie rozstrzyga, kto. Trzy ramiona wskazujące jedną bramę to bardzo zdecydowana opinia o bramie i żadna o nas.

— Ty — powiedzieliśmy Noa i ja.

Noa przeszła do swojego uchwytu. Julita przytrzymała skrzydło plecami i obiema rękami, z dobrze wbitymi stopami, i tym razem żadna jej nie uciekła.

— Stój! Przytrzymuję skrzydło! Przechodź!

Przeszliśmy. Złożony. Cały.



— Czterdzieści jeden minut — powiedziała Irena.

BŁYSKAWICA potrzebowała czternastu. Siedzieli we troje na ziemi przy rowerach, nie spoceni. Zoe pozdrowiła mnie dwoma palcami; Bruno całą ręką.

Przyszła Mara z pudłem pod pachą. Irena spojrzała na teatrzyk na ziemi swojego podwórka, złożony, z paskiem na miejscu, i patrzyła dłuższą chwilę, z góry na dół, jak się patrzy na kogoś, kto wraca z długiej podróży, żeby sprawdzić, czy wrócił cały. Otworzyła teczkę i pokazała Marze kartkę z rejestru: „Warsztaty teatralne. Odpowiedzialna: Irena". Mara przeczytała ją tak, jak czyta ona, palcem, najpierw linię, potem pieczątkę. Julita podała jej zielony flamaster, ten, który się nie zmazuje.

— Przyda mi się — powiedziała Irena. I podpisała etykietę.

Na etykiecie pojawiło się słowo DORĘCZONO. Nikt go nie napisał. Dookoła wciąż było dziewięć pieczątek ZWROT, po jednej na każdą podróż Mary, a pośrodku teraz zielony podpis, który nie zamierzał nigdzie odchodzić.



Irena otworzyła inwentarz centrum, żeby zapisać teatrzyk. Nie trzeba było: miał już swoją stronę. U góry stało TEATRZYK SKŁADANY · oczekuje na odbiór, a pod spodem, w kratce z napisem PRÓBY, była stara, krzywa linijka, bardzo brzydkim pismem:

„Wypróbowany na podwórku. Złożony, przechodzi przez dwie bramy. Rozłożony, nie. —R.”

Pochyliliśmy się nad nią we troje, tak bardzo, że nasze głowy rzuciły na nią cień.

— To sprzed czasów, kiedy prowadziłam warsztaty — powiedziała Irena. — Nie wiem, kto to.

— My też nie — powiedziała Julita. — Ale powoli się dowiadujemy.

R. był na tym podwórku i wypróbował teatrzyk, zanim go wysłał. Tym razem zmierzył obie bramy: żelazną i starą. To, co R. wiedział, mieściło się w jednej linijce. Nam zajęło tydzień.

Drzwi Elii. Dwie bramy z podwórka. R. mierzy drzwi. Zachowuję to do karty. —J.



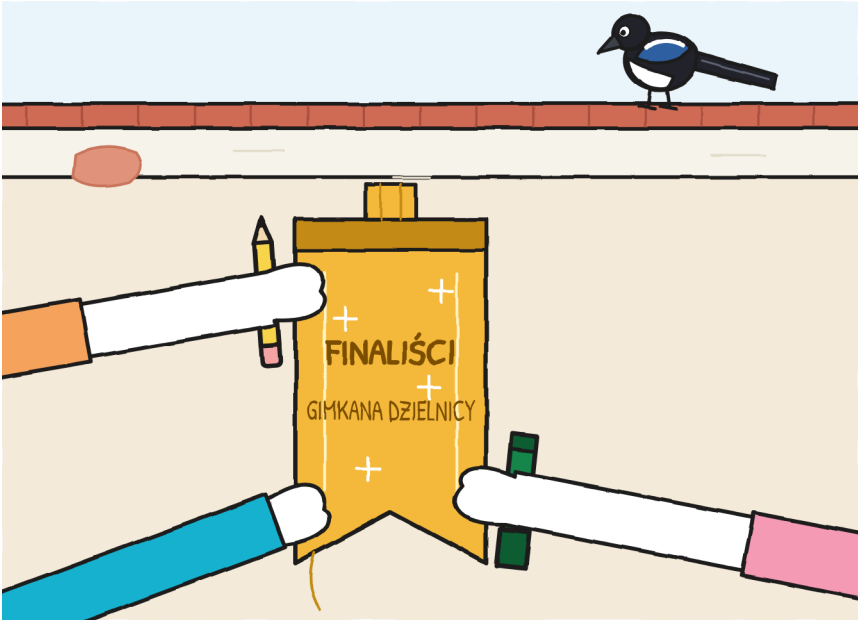
Wygrała BŁYSKAWICA, nie powtarzając ani jednego odcinka. Nagrodą był bochen Elii z jedynką z mąki na wierzchu. Zoe podzieliła go na trzy kawałki. Kawałek Bruna był tak samo duży jak jej; zmierzyłem na oko, a moje oko, jeśli chodzi o kawałki, się nie myli.

Drużynom, które przyszły z ładunkiem w całości, Irena dała wstążkę. Naszą widziałem z bliska, bo trzymaliśmy ją we troje: ręka z ołówkiem, ręka z zielonym flamastrem i ręka w turkusowym rękawie. Była ze złotego atłasu, z blaskami, które zmieniały miejsce, kiedy oddychało się blisko, z krótkim węzłem

u góry i brzegiem, który już puszczał nitkę. Był na niej napis, czytelny z daleka: FINALIŚCI · GIMKANA DZIELNICY.

Na murze sroka przechyliła głowę. Tak robię ja przed planem, którego nie rozumiem.

— Finalista to ten, kto przychodzi ostatni — powiedziała Julita.



— To ten, kto dociera do finału — powiedziała Noa.

— Do finału dotarliśmy ostatni — powiedziałem. — Pasuje do obu.

— Skoro już tu jest — powiedziała Irena — trzeba go wypróbować.

Rozłożyły go we dwie, Mara i ona, z rękami na bocznych belkach. Klak, klak, klak. To był pierwszy raz w tygodniu, kiedy słyszałem, jak otwiera się celowo, i brzmiało tak samo: widocznie teatrzykowi jest wszystko jedno.

My, z tyłu. Mieliśmy dwie minuty, żeby wymyślić przedstawienie. Noa rozdała role. Wcześniej zapytała:

— Kto chce mówić mało?

Podniosłem rękę. To była najszybsza ręka całej gimkany.

Kruszynka wyrwała się Werze, przefrunęła metr i usiadła na panelu, bardzo sztywna, z ogonem zwisającym dokładnie przed oknem. W tym tygodniu w tej ramie widziało się Tonia z pełnymi ustami, Noę na środku ulicy i pana Antoniego śpiącego nad szachownicą. Teraz ogon Kruszynki. Rama ma nieomylne oko do tego, czego nie powinno być. To było przedstawienie, które jeszcze się nie zaczęło.

Wera ją zebrała wyciągniętymi rękami, a Kruszynka dała się, z miną „to nie ja", którą skopiowała ode mnie pierwszego dnia.



Przedstawienie nazywało się „Paczka, która nie chciała wejść". Julita grała Marę, z papierowym rożkiem na głowie zamiast kapelusza. Noa grała wszystkie drzwi i każde wychodziły inne, tylko od zmiany nogi. Ja grałem paczkę, wyglądającą przez okno.

— Warsztaty? — mówiła Noa. — Tu krawiectwo.

— ZWROT — mówiłem ja.

— Warsztaty? Tu chór.

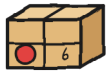
— ZWROT.

Powiedziałem to dziewięć razy. Publiczność je liczyła, a chór, który po to przyszedł, liczył, stroiąc głosy. Za dziesiątym razem Noa rozłożyła ręce, a ja powiedziałem to drugie słowo.

Na ukłon wyjrzeliśmy wszyscy troje przez okno. Mieściliśmy się. Ściśnięci. Moje lewe ucho należało do Julity, a prawe do koka Noi. Na dole Mara, ta z prawdziwym kapeluszem, biła brawo dwoma palcami.



Nie dzieli się na kawałki. Trzeba się ścisnąć. –J.



ROZDZIAŁ 6

Co zostaje, gdy kończy się próba?

Po południu wróciliśmy do sklepu z etykietą. Noa też przyszła. Została w drzwiach, z notesem na szyi, i liczyła paczki na regale palcem i ustami, bez głosu.

Julita spojrzała na plakat. Potem spojrzała na Marę.

— Mogę?

— To twój plakat.

Weszła na niebieski taboret, skreśliła 15 i napisała duże 14. Mara przykleiła etykietę w księdze, do pozostałych pięciu, i przesunęła po niej ręką dwa razy, jak się wygładza prześcieradło.

W drzwiach Noa skończyła liczyć.

— Czternaście — powiedziała, do nikogo.

— Czternaście — powiedziała Julita z taboretu, z flamastrem wciąż odkręconym.

Tonio przyniósł klasyfikację, z pieczątką centrum osiedlowego, żebym przepisał ją do zeszytu: BŁYSKAWICA, czternaście minut; SZACH, dwadzieścia dziewięć; IGŁY, trzydzieści trzy; CHÓR, trzydzieści osiem, z jednym powtórzonym odcinkiem; NOA + 2, czterdzieści jeden. Spojrzałem na nią dwa razy. „Bruno" był cały, nieskreślony i bez niczego na wierzchu. Naszą drużynę poprawiła Noa swoim turkusowym ołówkiem, nikt jej o to nie prosił: skreśliła „+ 2" i napisała na górze NOA, JULITA I GUNI.

— W poniedziałek nie wiedziałam, jak się nazywacie — powiedziała. — No dobrze. Jak się nazywa Guni.

Wyjąłem kartę R. Miała jedenaście wskazówek. Dopisałem jedną: „12. Wypróbował teatrzyk na podwórku centrum, zanim go wysłał. Jest w inwentarzu." Tonio ją przeczytał. Przeczytał też swoje, niżej, OCZEKUJE: należy mi się wyjaśnienie, i przesunął palec pod spodem, nie dotykając tuszu. Niczego nie skreślił.

— Teatrzyk został wypróbowany — powiedział. — Mojego dzwonka nie wypróbowano.

— Tego nie wiemy — powiedziała Julita.

— O moim dzwonku nie ma żadnej linijki w żadnym inwentarzu — powiedział Tonio. I to też była prawda.



Potem rozłożyłem plan na ladzie. No dobrze: już nie był złożony. Od czwartku podróżował otwarty w zeszycie, wystając u góry,

ale miał ślady zgięć, na krzyż, jak okno, a one nie znikają. Plan pamięta, jak go trzymano.

Przytrzymałem go miarką w jednym rogu i słoikiem na ołówki w drugim.

— Brakuje twojej części — powiedziałem do Noi. — Tego, co jest stąd, od fontanny, dalej. Z tych ulic znam tylko metry.

Tego zdania nie ćwiczyłem. Przemyślałem je, co jest czymś innym: w czasie przedstawienia, wyglądając przez okno, między szóstym ZWROT a siódmym.

Noa spojrzała na Julitę. Julita spojrzała w sufit, co jest jej sposobem, żeby się nie wtrącać, i patrzyła z zainteresowaniem, na jakie sufit sklepu nigdy nie zasłużył.

— Mogę na nim malować?

— Po to ci go pokazuję.

Pchnąłem plan w jej stronę obiema rękami. Noa wyjęła ołówek zza ucha i przez chwilę trzymała go w górze, nie dotykając papieru, tak jak zostaje ręka przed zapukaniem do drzwi, które nie są twoje. Potem opuściła.

To był pierwszy raz, kiedy inny ołówek dotknął tego papieru. Za każdym razem, kiedy turkusowy czubek się opuszczał, ja dociskałem trochę mocniej miarkę do jej rogu, choć plan nie miał żadnego zamiaru odchodzić. Julita to zauważyła i nic nie powiedziała, co u Julity jest bardzo głośnym sposobem zauważania.

Dodała swoją ulicę, centrum od środka, z salą, podwórkiem i korytarzem, który je łączy, i odległości, w krokach. Pisze mało i prosto, jakby każda litera musiała zmieścić się na jednej płytce. Ja dopisywałem metry obok. „Od fontanny do mojego wejścia: 80 kroków", napisała ona, a ja obok: „46 m". Osiemdziesiąt razy pięćdziesiąt osiem daje czterdzieści sześć i czterdzieści. Zaokrągliłem w dół, z grzeczności. Na moim planie po raz pierwszy były dwie jednostki i żadna nie była błędna. Na podwórku Noa postawiła turkusowy krzyżyk: „MIEJSCE NOI: tu liczy kroki".

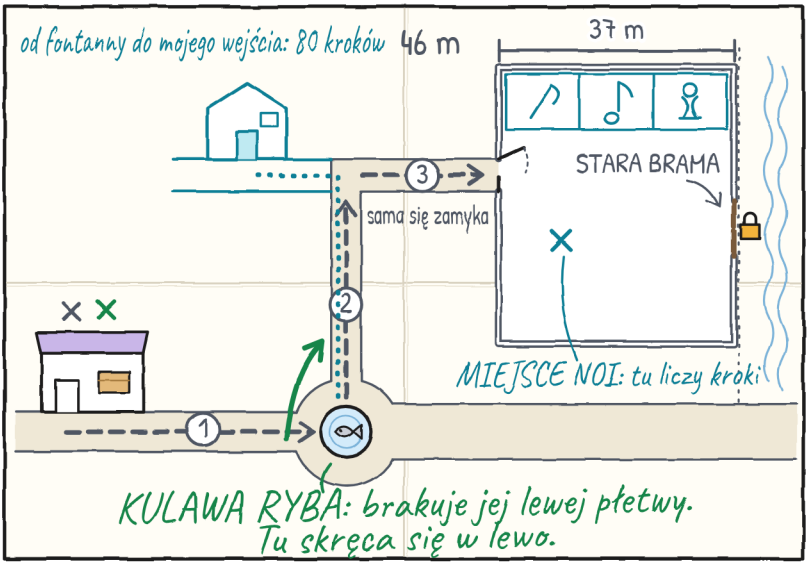
Julita nie wytrzymała. Odkręciła flamaster i napisała obok fontanny, na zielono i bez pytania o pozwolenie: „KULAWA RYBA: brakuje jej lewej płetwy. Tu się skręca w lewo". W sklepie postawiliśmy dwa krzyżyki, jeden ołówkiem i drugi zielony, tak blisko, że się dotykały.

U góry plan nazywał się PLAN GUNIEGO. Pod spodem napisałem nową nazwę: PLAN DZIELNICY (TROJGA). Nawias był moim pomysłem. Nawiasy to to, co wychodzi mi najlepiej.

A kiedy malowały, opowiedziały mi historię kulawej ryby. Opowiedziały mi ją obie naraz, jedna po każdej stronie lady, a ja chodziłem od jednej do drugiej głową, jak się ogląda mecz od strony siatki. Jest długa. Nie jest tak dobra, jak mówią. Ale teraz ją znam.

Jest świetna. Tyle że opowiadamy ją źle: wchodzimy sobie w słowo. —J.

PLAN DZIELNICY (NAS TROJGA)



Julita miała wstążkę zawiązaną na nadgarstku od południa. Puściły już trzy nitki. Policzyłem je, bo ona też je liczyła, po cichu, za każdym razem, kiedy jakaś zaczepiła się o kieszeń ogrodniczek.

— Jeśli ją zatrzymam, w poniedziałek będzie frędzel — powiedziała. — Schowamy ją w zeszycie?

Przykleiliśmy ją na pierwszej stronie, pod WSPÓLNE i pod zielonym pismem, które zajmuje pół kartki, kawałkiem taśmy klejącej na każdym końcu. Noa trzymała jeden koniec, Julita drugi, a ja przykleiłem oba kawałki, równo. Węzeł został u góry, trochę wypukły; blask zmieniał miejsce, za każdym razem gdy

ktoś przewracał sąsiednią stronę. W rogu postawiliśmy trzy małe inicjały: G, ołówkiem; J, na zielono; N, na turkusowo.

Zamknąłem zeszyt, żeby sprawdzić. Zamykał się gorzej: węzeł robił wybrzuszenie i okładka została lekko uniesiona z jednego rogu, jak ktoś, kto nie może się zdecydować, żeby wyjść. Zapisałem „wada" na marginesie, a potem to wymazałem.

Narysowałem ją z puszczonymi nitkami. Jeśli się rozpadnie, to się rozpadnie: nie będę jej rysował nowszej, niż jest.

Przez szybę sroka z muru patrzyła na nas z latarni. Patrzyła na wstążkę, nie na nas. Zauważyłem to, bo ja na jej miejscu patrzyłbym na to samo.



Mój zeszyt nie zamyka się tak dobrze jak twój. Właśnie dlatego. –J.



Noa przekartkowała strony do tyłu. Wcześniej poprosiła o pozwolenie, z otwartą ręką nad zeszytem, nie dotykając go, a ja powiedziałem tak głową. Przewracała powoli, jedną po drugiej, nie pomijając żadnej: miernik z wtorku, zielony wiersz ze środy, ostatnią stronę z kawałkiem muru i pół kłódki, nową kratkę z czwartku. Doszła do rogu z kreskami.

— A to?

Miała rękę na dokładnie takiej odległości, żeby to zakryć. Nie ruszyłem jej.

— Rachunek, który prowadziłem źle.

— A to drugie? — Przeczytała na głos: — „Bramę może też przytrzymać kamień".

— Pomyślałem o tym we wtorek.

Julita przestała kołysać nogą o taboret. Tonio, ze swojego pudła, podniósł wzrok znad zegarka, który niczego nie mierzył.

— Kamień nie mówi „krawężnik" — powiedziała Noa. — Ani piętnaście razy „stój".

Powiedziała to tak, jak mówi ona, licząc. Potem przewróciła stronę do przodu, znowu do wstążki, jak ktoś, kto odkłada książkę tam, gdzie ją znalazł.

Nie wymazałem kresek. Ołówkiem można, ale nie chciałem. Pod zdaniem narysowałem mały kamień z dymkiem. Zostawiłem go pustym.

Nie wymazuj ich. Są trochę moje. —J.



W niedzielę o świcie pilnowała Noa, która mieszka naprzeciw centrum. O dziewiątej przyniosła do sklepu kartkę. Szła, licząc kroki; było to widać po ustach. Kartka była złożona na trzy równe części; sprawdziłem. Było na niej, turkusowym, małym i prostym pismem:

- 7:38: teatrzyk, w sali warsztatów, złożony.
- 7:44: świta. Nie rusza się.
- 7:50: wciąż. Kroków, które zrobił: zero. —Noa

Pilnuje lepiej niż ja, liczy lepiej niż ja i nie piecze chleba. Dwa z trzech. —J.

Mara podniosła rolety do połowy, żeby nas przepuścić, a ja narysowałem regał: czternaście paczek i sześć luk, jedna za drugą, od 1 do 6, jak zęby, które wypadają po kolei. Plakatu nie trzeba było ruszać.

— Sześć — powiedziała Mara. I zamknęła księgę.

Tonio siedział w swoim pudle, z kaskiem na głowie, choć była niedziela. Noa została stać obok drzwi. Nikt jej nie powiedział,

żeby usiadła, ani żeby poszła. Przyszła, bo chciała, a w poniedziałek ma próbę.

Na zakończenie zeszytu narysowałem okno teatrzyka, puste.

Zrobiłem je linijką: ramę, krótką kurtynę zebraną z jednej strony, drewno z jego słojami. W środku nic. To było pierwsze okno tygodnia, przez które nikt nie przechodził przypadkiem, i wydało mi się sprawiedliwe zostawić je tak na chwilę, jak się zostawia otwarte drzwi, kiedy słychać kogoś na schodach.

Narysowałem siebie pierwszego, ołówkiem, z boku, tam, gdzie stoję na zdjęciach. Narysować siebie to najtrudniejsza rzecz: nie da się zmierzyć z zewnątrz. Wyszedłem poważny i z porządnie ułożonymi włosami, co nie jest tak, jak je noszę, tylko tak, jak chciałbym je nosić. Nie poprawiałem. Zostawiłem dużo miejsca.

Potem zostawiłem zeszyt otwarty na ladzie, zwrócony ku nim, z ołówkiem położonym w poprzek. Nie powiedziałem po co. Mara, z tyłu, nie patrzyła: zaczęła ustawiać słoiczki z tuszem z uwagą, której wcale nie potrzebowały.

Noa poprosiła o pozwolenie, zanim zaczęła malować w moim zeszycie. Julita nie.

Julita narysowała siebie na zielono, z otwartymi ustami i większą niż pozostałe dwie osoby, bo, jak powiedziała, w prawdziwym życiu też zajmuje więcej miejsca. Noa zmierzyła dwoma palcami miejsce, które zostało, tak jak mierzy ona małe rzeczy, i narysowała siebie w środku, na turkusowo. Kok wyszedł

jej z ramy u góry. Nie poprawiła. Noi ramy są za małe u góry i ona o tym wie.

Zmieściliśmy się w prawdziwym oknie, w sobotę, ściśnięci. W papierowym, które narysowałem z zapasem miejsca, ścisnęliśmy się tak samo. Z zapasu miejsca nikt nie skorzystał.

Pod spodem, ołówkiem, napisałem słowo:

mieścimy się.



Wspólne to wspólne. Jest napisane na pierwszej stronie. –J.

Została tabela, która zamyka wszystkie moje zeszyty. Tym razem zrobiłem ją odcinek po odcinku, tak, jak mierzyło się cały tydzień.

DOSTAWA NR 6. Odcinek po odcinku (kto niósł · kto kierował · co trzeba było powtórzyć):

- Sklep → fontanna kulawej ryby: Guni i Noa · Julita · skręt przy fontannie (trzy razy).
- Fontanna → róg: Julita i Noa · Guni · nic (ale powoli).
- Róg → podwórko: Guni i Julita · Noa · wejście: mapa była stara.
- Sobota: wszyscy troje · wszyscy troje, na zmianę · pasek (za drugim razem, na trzeciej dziurce).
- Przed nami: Mara, sama · nikt · dziewięć podróży.
- R.: ? · ? · nie wiemy.

Na dole narysowałem miernik trzech, z czterema kratkami wypełnionymi i trzema imionami zmienionymi miejscami.

Trzy kratki. No dobrze, cztery. Trzy imiona. Żadna pusta. —J.

NIEMOŻLIWE DOSTAWY · 7

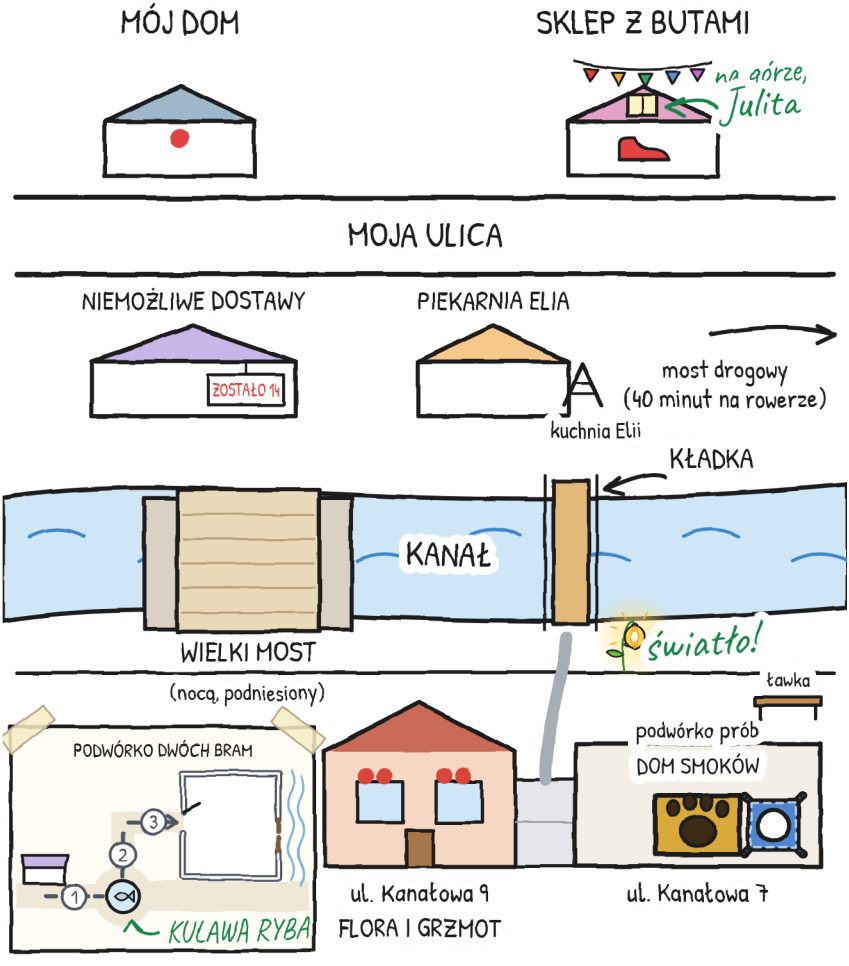
(już wkrótce)



Tym razem etykieta żądała godziny, o której ja już jestem w piżamie.

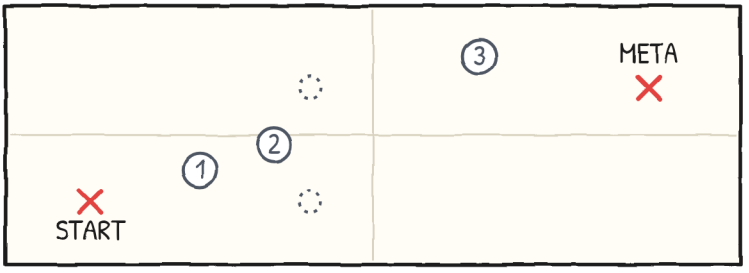
Kto nie śpi, kiedy inni zamykają? Poza mną. –J.

DZIELNICA (wersja 6)



TWOJA TRASA

Kto niesie? Kto kieruje? Kto toruje drogę? Kto uprzedza?



MIERNIK TRZECH

	NIEŚĆ	KIEROWAĆ	TOROWAĆ DROGĘ	UPRZEDZAĆ
odcinek 1				
odcinek 2				
odcinek 3				

Jeśli w kratce zawsze wychodzi to samo imię, zmień. –J.

JEDNA HISTORIA, SZEŚĆ ROZMIARÓW

Ta książka istnieje w sześciu rozmiarach, dla dzieci od 3 do 16 lat, i w ponad 20 językach. XXS, XS, S, M i L opowiadają historię strona po stronie, na tych samych rysunkach i z coraz większą liczbą niuansów. XL to powieść: ta sama historia, z miejscem na wszystko, co Guni myśli, ale czego nie mówi.

Poziomy według ESOKJ są orientacyjne: XXS, pre-A1 · XS, A1 · S, A2 · M, B1 · L, B2 · XL, B2–C1.

Każdy w swoim rozmiarze. Ten sam teatrzyk. —J.

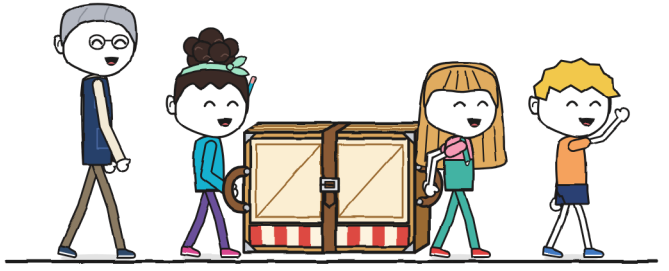
DLA RODZIN I NAUCZYCIELI

Pracuj nad każdym rozdziałem na linguaula.com (z ćwiczeniami z rozmiaru L)

PRAWDZIWE PRZENOSZENIE: CO ROBIĆ

1. Przed wyjściem obejrzyj całą drogę.
2. Jedna osoba idzie wolna: otwiera drzwi i uprzedza.
3. Ręce na uchwytach. Z dala od zawiasów i zamknięć.
4. Z ładunkiem się nie biega ani nie rywalizuje.
5. Jeśli ktoś mówi „stój”, zatrzymują się wszyscy.
6. Najpierw się odstawia na ziemię; potem się dyskutuje.
7. To, co duże, rozkłada się i składa we dwoje, z osobą dorosłą.

Pieczątka TYLKO W OPOWIEŚCI oznacza to, co może zdarzyć się w opowieści, ale nie przy prawdziwym przenoszeniu.



A jeśli wiesz coś o drodze, powiedz to wcześniej. –J.